

III

1

BIBLIOTEKA

S. S. URSEWICZ

KRAKÓW

WZORY OPISÓW I ROZPRAW.

CZĘŚĆ II.

WZORY

opisów i rozpraw

do ćwiczeń stylistycznych, logicznych
i estetycznych.

Dla klas wyższych szkół średnich

zebrał

339

ROMUALD SUŁOWSKI,

kandydat nauk hist. - fil.

CZĘŚĆ II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM i DRUKIEM M. ARCTA.

1908.



Biblioteka
Uniwersytetu Gdańskiego



1101002410



44101/2

IX 3 B

K. 133/18/61

15

A) OPISY.

1. Widok z Wawelu.

Czyli znasz widok z Wawelu ku stronie Bielan naszych*)? Czy wpatrywałeś się kiedy w ten obraz, pełen bogactwa i czarodziejskich uroków? Natura tu, zaiste, w swych szatach niedzielnych, przybrała się w co miała najstrojniejszego, a tak jej dobrze i ładnie w tych sukniach, świetnie wyszywanych i lśniących świeżością i barwą, iż kto ją raz obaczy, już ona mu się na wieki w sercu zapisze. Tu z nieba spadły wszystkie natury piękności i otoczyły siwy Kraków gęstym wiankiem nigdy niezwiędłych kwiatów. Tu dziwnie się splatają powaby różnaitości pełne, bo przy sobie znajdziesz i zuchwałę, butne góry, czarnym borem poważne, i wzgórza łagodne, urosłe w kształty pulchne i miękkie, i wyteżone rozłogiem niezmiernym błonia majowe, i gołe ściany skalne, dąbrowy, bukietami po równinach porozrzucane, kraj rozwinięty kobiercem, haftowanym w warcabnicę zbożnych łąnów. Rusza się i migocze rozbiegły ród topoli srebrnych, powiewnych wierzb, sosen dumających i męskiego hartu dębów.

*) Naszych, t. j. krakowski h—dla odróżnienia od Bielan, położonych pod Warszawą.

Osiadły też tu ciżbą wioski i pałace, klasztory i dworki, strzechy i wieże, a radując się pełnym sercem, oddychają tym cudnym bożym światem. Natura tak pełną garścią obsypała tę Obiecana Ziemię darami swojemi, iżbyś mógł trzy, sześć, nie wiem ile osobnych obrazów z widoku tego wykroić, a każdy byłby inny, a każdy cudnego wdzięku; byłoby nas stać niejedną jałową stolicę ubrać, ozdobić, a jeszczebyśmy nie zubożeli wcale.

Tu drzewa i ptaki, potoki i zwierzęta, góry, ludzie i dzwony śpiewają weselem; ale już primadonna tej wielkiej opery Natury jest Wisła, co od lat tysięcy falami swojemi nuci nam tę samą, jej niesprzykrzoną nigdy, a nam zawsze drogą pieśń swoją. Ona też jest królową obrazu; długim posuwistym tanem zwija się poważnie, uroczyście, a ucałowawszy Wawelu stopy, narzeczona Baltyku pośpiesza w objęcia kochanka.

Józef Kremer.

(Listy z Krakowa, 2 t.—Dzieła, t. IV—V. Warszawa 1877).

2. Góra Świętokrzyska.

Wśród licznych pasm gór Kielecko-Sandomierskich, wypełniających powiaty Kielecki, Jędrzejowski, Opatowski, Sandomierski, Iłżecki, Koński i Opoczyński, pasmo gór Świętokrzyskich wznosi się najwyżej nad poziom morza, bo dosięga wysokości 1900 stóp, podczas gdy najwyższe z kolei pasmo gór Opatowskich dochodzi już tylko do 1300 stóp.

Samo pasmo Łysogórskie tworzy długi około 2 mil, ostry grzbiet kwarcytowy, zakończony dwoma wyższemi szczytami: na północy Łysicą, wysoką na 1908 stóp, a na południu Łysą górą, wysoką 1813 stóp. U stóp Łysicy stoi klasztor św. Katarzyny, na szczycie zaś Łysej góry—

klasztór św. Krzyża. Całe pasmo gór pokrywa nieprzebytą oponą gęsty las buków i jodeł, które korzeniami trzymają się dzielnie rozpadlin w skałach. Mimo to liczne są miejsca, gdzie spiętrzone odłamki skał nie dopuszczają leśnych olbrzymów, ale dziwacznym rumowiskiem pokrywają stoki góry, tworząc tak zwane gołoborza *). Od takich to miejsc całe pasmo gór otrzymało nazwę Łysych. Góry Świętokrzyskie stanowią dział wodny między doliną Wisły i Pilicy, a ze stoków ich liczne w obie strony spływają strumienie i rzeczki. Stąd biorą początek rzeczki Świślina, Pokrzywianka i Słupianka, dopływy Kamionny; Opatówka, Koprzywianka i Czarna, wpadające do Wisły; Beldonka, Czarna Nida i Łośnia, niosące swe wody do Nidy.

Wody spływające z tych stoków, są kryształowej przezroczystości i, oprócz żelaza, innych domieszek nie zawierają.

Nader ciekawą jest rzeczą, że wody te nie płyną ze źródeł, ale pochodzą z opadów atmosferycznych, które spływałyby bez śladu po zimnych skałach górskich, gdyby nie osobliwa zaporą, jaką same sobie wytworzyły. Zapora tę stanowią torfowiska, jak gdyby zawieszona w połowie wysokości góry, często nawet na wzniesieniu 1200 stóp nad poziomem morza.

Z tych to torfowisk sączą się strumyki, które następnie zamieniają się w rzeki.

Mimo swoją niezbyt znaczną stosunkowo wysokość, góry te mają florę zupełnie górską; średnia temperatura na ich szczycie o dwa stopnie jest niższa, niż w Warszawie, oziminy na szczycie już się nie udają, a różnice północnych ich stoków od reszty Królestwa są dość znaczne.

*) Gołoborze, gołobórz, lub w mowie Podhalań golażń—miejsce gołe, nie zarośnięte drzewem w lesie, a zbożem na polu.

Gdy na nadwiślańskich równinach śniegi już zginęły, tu jeszcze sankami jeżdżą; gdy tam już żniwa, tu zboża jeszcze zielone.

Góry Świętokrzyskie badane były pod względem przyrodniczym już przez Staszycę, następnie przez Puscha *) i innych przyrodników. Pusch pierwszy orzekł, że wzniesienia te stanowią skały kwarcytowe, gdzie znaleźć można zupełnie przezroczyste lub lekko zabarwione kryształy kwarcu, a trafia się też podobno ametyst, chalcedon, granat, karniol, agat, lecz w nader drobnych kruszynch.

Stary to kawał skorupy ziemskiej te łyse szczyty, jest to bowiem jedna z czterech wysp prastarego ładu Europy. Jeszcze ani Tatr, ani Alp nie było, a olbrzymie morze gotowało dopiero na swoim dnie potężne skały osadowe, z których miały powstać Giewont i Łomnica, Mont-Blanc i St.-Gothardt. Rozhukane bałwany tego morza były wściekle o krystaliczne wyżyny dzisiejszej środkowej Francji, okolic nadreńskich, kotliny Czech i gór Świętokrzyskich.

Znany nasz przyrodnik, Siemiradzki, zwrócił uwagę, że podczas gdy na południowym stoku gór, pod lekką warstwą ziemi i żwiru dostać się można do jednolitej skały kwarcowej, to północne stoki pokryte są nadzwyczaj grubą warstwą potrzaskanych odłamków skalnych, jednolita zaś ściana nigdzie się nie ukazuje.

To naprowadziło uczonego na myśl, że w okresie lodowym, sunący z północy olbrzymi lodowiec dyluwjalny, spotkawszy po drodze grzbiet Świętokrzyski, nie mógł go przekroczyć, lecz przesunął się bokiem po północnym stoku, druzgocąc spotkane skały na drobne odłamy.

*) Geolog pochodzenia niemieckiego, profesor szkoły górniczej w Kielcach (1816—1826), a następnie naczelnik wydziału górnictwa przy Komisji skarbu. (†1846).

Promienie ciepłego słońca stopiły siłę tego olbrzyma, co w lodowym uścisku chciał zetrzeć życie z powierzchni ziemi. Z początku liche mchy i liszaje odważyły się zając wolne przestrzenie skał, za nimi podażyły wątle trawy i paprocie, aby utworzyć podścielisko dla coraz doskonalszych tworów świata roślinnego.

Długie przeminęły lata od owej chwili, gdy z potężnym łoskotem trzaskał północny lodowiec skaliste boki gór. Okolicę tutejszą nieprzebyta pokryła puszcza, a w niej na szczytach gór wzniesiono pogańskie świątynie na cześć bożyszcz wiatrów i burz (Świst i Poświst) i cudnej bogini Pogody.

Słynęły te świątynie po całym obszarze słowiańszczyzny, a błogo było duchowi tego, czyje kości w pobliżu świętych miejsc złożono. To też w pobliskiej wsi Nietulisko (może kiedyś Nietulisko?) znaleziono, jak pisze F. M. Sobieszcański, wielkie cmentarzysko pogańskie, mieszczące na dużej przestrzeni kilkaset urn i łzawnic ze szczątkami kości.

Niedostępność tych miejsc i potężny wpływ kapłanów pogańskich tłumili iskierki światła chrystjanizmu. Już w niezbyt odległym Krakowie lub Sandomierzu czyniła kultura znaczne postępy, gdy tu wszystko jeszcze szumiało dzikością.

W tych to puszczech Chrobry polował na tury, żubry, łosie i niedźwiedzie; on też, szerząc dalej chrześcijańskie dzieło swego ojca, na szczycie Łysej góry, na miejscu bożnicy *) Swista i Pośwista w r. 1008 założył klasztor sprowadzonym z Francji Benedyktynom, którzy przybyli tu z najdroższym swym skarbem: cząstką drzewa krzyża świętego.

*) Dla oznaczenia świątyni pogańskiej u Polaków i Słowian zachodnich używa się zwykle wyraz *kontyna* (może od *kąt*), lub *gontyna*.

Droga ta relikwja szybko zasłynęła po całym obszarze Polski i stała się celem licznych pielgrzymek z najodleglejszych kresów państwa. Na dni odpustów ciągnęła tu liczna rzesza kupców, by przy napływie ludności łatwiej spieniężyć towary. A że pod owe czasy najpoważniejsze uroczystości przeplatane były wesołością i śpiewem niekoniecznie nabożnym, więc i owe jarmarki u stóp pustelni były wyprawiane z takim rozpasaniem, że dbający o spokój klasztoru opaci musieli starać się o przeniesienie targów do leżącego u stóp góry miasteczka Słupi.

Sława tego miejsca wywołała niezwykle rozwój klasztoru i pomnożenie go w bogactwa. Wezbraną rzeką płynęły tu niesłychane skarby z rąk królów i biskupów, władków i kmieci. Obok cudowności relikwji zasłynął klasztor ze swych nieprzebranych bogactw i z tego powodu stał się celem łakomych wycieczek Tatarów, Litwy i Rusi. Zwłaszcza sąsiednia Litwa nie tylko Laszki - synowe pod burką w litewskie puszcze dźwigała, ale do tych synowych znaczne sobie dobierano posagi, łupiąc bez miłosierdzia bogate kraje nadwiślańskie.

Tak też w r. 1370 Kiejstut i Lubart, wracając z pod Wiślicy, złupili i obdarli kościół i klasztor, a świętokradzką ręką nawet drzewo krzyża świętego zagrabili. Jednak, według słów legiendy, wóz, na który naładowano ten skarb, nie chciał ruszyć z miejsca, a woły i konie padały przed nim na kolana. Musiała więc Litwa relikwje oddać i kornie błagać o przebaczenie. Porozumienie o zwrot tej polskiej relikwji, zwanej na Litwie «krzyżem lackim» przyśpieszyły, jak pisze Szajnocha w swym wiekopomnym dziele «Jadwiga i Jagiełło», zbliżenie się obu narodów, i w kilkanaście lat po owym głośnym napadzie Kiejstuta korzył się w tutejszym kościele przed nowym swym Bogiem synowiec jego, Jagiełło.

Król ten osobiwą czią otaczał tutejszą świątynię. Przed każdym ważniejszym krokiem swego życia tu parę dni na modlitwie spędzał, stąd też w r. 1410 wyruszył na ową wiekopomną grunwaldzką potrzebę, a szedł ze Słupi na górę pieszo po kamienistej drodze, bijąc się w piersi i sypiąc sowite jałmużny nędzarzom. On też kazał wewnątrz całej świątyni artystycznie pomalować greckim mistrzom.

Potomkowie jego zachowali cześć swego poprzednika dla tej górskiej pustelni, a Wazowie nie mniej od Jagiellonów otaczali czią tutejszy klasztor. Zygmunt III ofiarował tu własnej roboty trzy srebrne posągi.

Szwedzi kusili się kilkakrotnie o zdobycie rozgłośnych bogactw klasztornych; te jednakże były starannie przechowywane w kryjówce pod opieką kilku najstarszych zakonników, reszta zaś zgromadzenia nawet o nich nie wiedziała. Olbrzymim też skarbem była tutejsza biblioteka, zajmująca kilka sal w klasztorze, pełna niesłychanie rzadkich manuskryptów.

Po wielkiej rewolucji francuskiej gościnny konwent tutejszy udzielił schronienia wygnanym Benedyktynom francuskim. Lecz przytuleni serdecznie goście owi odpłacili się czarną niewdzięcznością poczciwym ojcom, gdyż zupełnie zniszczyli i spalili bibliotekę. Na dobitek zaś, gdy szczątki owej biblioteki przenoszono do innej sali, jeden z braci znalazł na starym szpargale opis kryjówki, gdzie schowane były skarby klasztorne. Uszczęśliwiony, powierzył ten sekret dwom innym braciom i namówił ich do ucieczki z temi skarbami. Jakoż projekt się udał, ale rząd austriacki, do którego wówczas należał klasztor, skarby zabrał i po oszacowaniu wyznaczył klasztorowi, jako odszkodowanie, sumę 14000 złp. rocznie. Niebywała wysokość tej sumy, oznaczonej przez zaborców, wskazuje, jak wielkie musiały być te skarby, kornie przez wiernych składane na ołtarzu.

Straszne pożary kilkakrotnie niszczyły tutejszy klasztor: 26 października r. 1777 całe opactwo do szczętu spłonęło, i w ciągu paru godzin zostały zeń dymiące zgliszcza i rumowiska. Po tym okropnym ciosie długo dźwigano i poprawiano gmachy, aż, za staraniem ówczesnego opata J. N. Niegolewskiego, stanęła obecna świątynia, w roku 1806 poświęcona. Kościół ten, składający się z jednej długiej nawy, ozdobiony jest wewnątrz 7 obrazami natchnionego pędzla Smuglewicza i czyni nader miłe wrażenie pogody i spokoju.

Przez krużganki gotyckie z żebrami, wspartemi na tarczach herbowych*), jedyny zabytek ze starych czasów kościoła, przechodzi się do kaplicy Oleśnickich, gdzie na ścianie ciekawe są nagrobki Mikołaja z Oleśnicy Oleśnickiego, wojewody lubelskiego, i żony jego, Zofji z Lubomirskich**). Postaci na pomnikach są z marmuru, a twarze i ręce mają z alabastru, co bardzo niezwykle wygląda. W tej też kaplicy jest obecnie przechowywana święta relikwja, gdyż właściwa kaplica Św. Krzyża doszczętnie spłonęła i nie została odbudowana. Według podania mają też tu spoczywać zwłoki tyle głośnego bohatera ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

Po krętych, ale dość wygodnych schodach dostać się można na szczyt wieży kościoła, skąd roztacza się widok na kilka mil rozległy. A widok to niepowszedni, gdyż przy pogodnym dniu, na południu, kontury Tatr wybornie rozróżnić można, a uzbrojone w lunetę oko dokładnie zobaczyć może: Bodzentyn, Kielce, Chęciny, Busko i Kazimierz nad Wisłą.

*) Są tu herby państwa, prywatne: Dębno, Topór, Prus, Jastrzębiec, Poraj, oraz podwójny krzyż, klasztoru tutejszego znamię. Herby te pochodzą niewątpliwie z XV w., ale ściany i sklepienia krużganku o wiek cały albo i więcej dawniejszemi być mogą.

***) Nagrobki te pochodzą z XVII wieku.

Ciekawe też bdebrać można wrażenie ze szczytu wieży, gdy góra ginie we mgle. Często bowiem na dole dzień jest pogodny, góra zaś od połowy pograżona w chmurze. Jakaś bezbrzeżna niezmacona cisza otacza wtedy widza. Ten nieprzebity dla oka ocean mgły jakieś dziwne budzi uczucia lęku, a zarazem spokoju.

W zabudowaniach klasztornych mieści się obecnie więzienie, a jeżeli dziś bywa ono zapełnione, to w owe dobre czasy «zbójów» przydałoby się było również.

Dzikość i nieprzystępność okolicy sprzyjała tworzeniu band łupieżców, a puszcza dawała im pewny przytułek, to też z odległych wieków słynęli «zbóje świętokrzyscy» i w przysłowie nawet weszli, jako obraźliwy epitet na całym obszarze Polski. Już w końcu XV wieku miała ówczesna sprawiedliwość niemały kłopot ze zbójczynią Rusinowską, która konno na czele swej bandy stała, łupiąc szlachtę okoliczną. Niezwykle ciekawy to zapewne był typ owa zbójczyni, co wpadła nareszcie w ręce sprawiedliwości, i w roku 1505 obwieszono ją podczas sejmu w Radomiu.

Po niej zaśląnął zbój Zakuta-Zarzycki; później dowodzili bandami bracia Piorunowie i Kolbusowie, około roku 1820 gęsto tu spotykano obozowiska cygańskie, a w roku 1825 grasowała banda pod wodzą Żyda z Węgier, Tewela, i chłopą Łembka z pod Ś-go Krzyża. W r. 1833 miał bandę z 27 ludzi złożoną chłop Patałacha i jego pomocnik Sikora...

Schodząc ze szczytu góry Ś-tokrzyskiej ku Nowej Słupi, spotykamy nader oryginalny zabytek starożytnej rzeźby: jest to wykuta z kamienia klęcząca postać, zwrócona twarzą ku klasztorowi. Kiedy, przez kogo i w jakim celu posąg ten został postawiony, nic pewnego powiedzieć się nie da. Liczne legiendy krążą o tej postaci, jak np., że posąg ten wykuł nawrócony Litwin, co dotknął ręką

świętej relikwji, i za karę ręka mu zmartwiała. Według innej legiendy, jakiś pokutnik szedł na kolanach z Rzymu, i gdy się zbliżał do góry, dzwony klasztorne same zadzwoniły, obwieszczając jego przybycie, co wielką pychą napełniło serce pokutnika. By ukarać jego pychę, zagniewany Bóg zamienił go w kamień. Najprawdopodobniej jest to wotum kogoś cudownie uzdrowionego, gdyż postać ta klęcząca ma lewą rękę zawieszoną na temblaku.

Gdy ostatnie promienie zachodzącego za górę słońca oświecają twarz tego polskiego sfinksa, czyni ona niezatarte wrażenie jakiegoś bezbrzeżnego pragnienia i smutku. Te martwe oczy, beznadziejnie wpatrzone w błyszczący na szczycie wieży złocisty krzyż, na długi czas zostają w pamięci. Według ludowego mniemania posąg posuwa się wolno na szczyt góry, a gdy na nim stanie, nastąpi koniec świata. Możemy jednak pocieszać się myślą, że nie nastąpi to jeszcze tak rychło.

Al. Janowski.

(Wycieczki po kraju. Warszawa, 1900).

3. Wspomnienie Tuhanowicz.

Ponieważ przy tejże samej dolinie rzeki Serweczy, nad którą położone Tracewicze, w kierunku ku stronie Cyryna, było kilka innych dworów,—więc też wraz, niewiele co ujechawszy, mijamy Tuhanowicze.

Któż dziś z Polaków, — a cóż dopiero kto z Litwinów, — mógłby obojętnie minąć tę kolebkę Maryli — tę pierwszą stację zachwyków i marzeń Adama! — otoczoną aureolą poezji, pamiątek, — z jej altaną lipową, — z jej kurhankami, co cichym szmerem dębów odwiecznych zdają się szeptać i łączyć z sobą imiona tych, których los rozłączył!

Uroczą ta wśród cienistych klombów położona rezydencja, cicha teraz i posepna, — warstwą śniegu i szronu jakby całunem śmierci pokryta. Pustkami też stoi i owa historyczna oficyna (murowanka), kwatera niegdyś Adama i jego młodych przyjaciół.

Nic się w niej nie zmieniło od czasów Mickiewicza, chociaż Tuhanowicze przeszły z czasem w posiadanie Tuhanowskich, przez zamianę z Wereszczakami na Smolczyce. Kwaterowałem tam nieraz, będąc gościem zacnego ś. p. Konstantego Tuhanowskiego. Podług mego planu stała oranżerja i studnia...

Jest pewien smętny urok w krajobrazach zimowych, szczególnie gdy się je ogląda tam, gdzie pamięć przeszłości zachowała ich obraz w duszy z innych czasów; gdzie natura, jakby z rogu obfitości rozsypując swe skarby, uwzięła się zdaje, aby wybrany przez nią zakątek ziemi ubrać na pociechę ludzkiej doli, — a teraz, przemocą niezwalczonej siły, okuta lodowemi więzy, czeka wyzwolenia... cóż dopiero, gdzie z tym urokiem natury łączy się pamięć tych, co tam byli, z którymi się dzieliło chleb i serce, a których już niema, lub tych, co jak świetne meteory przemknęli—i znikli! Takie to uczucia budzi ten miły zakątek ziemi nowogrodzkiej; i jeżeli mnie przecucie nie myli, stanie się on, niezadługo może, celem pielgrzymek narodowych i przedmiotem, godnym pędzla artysty-poety.

Edward Pawłowicz.

(Wspomnienia z nad Wilji i Niemna. Lwów, 1883).

4. Tuhanowicze.

Ktokolwiek będziesz w Nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać twe konie,
Byś się przypatrzył jezioru *).

A przypatrzwszy się tej szklanej równinie wód, co na dalekim horyzoncie zdaje się łączyć swoje wybrzeża z rąbkiem nieba, które błękitne stropy aż do jej powierzchni nachyla: nie zapomnij rozejrzeć się po okolicy, gdyż w tych właśnie stronach, niemal nad brzegiem tego jeziora, rozegrał się ów dramat serca poety, znany w dziejach naszej poezji pod nazwą czwartej części «Dziadów».

Okolice Świtezi i Płużyn, tak malowniczo opisane przez Mickiewicza w jego balladach, poszyte gęsto ciemnymi borami i obfitujące w rozkoszne do polowania knieje, należą do najpiękniejszych i najbardziej uroczych miejscowości powiatu Nowogródzkiego**). W tej właśnie jego części, gdzie przez gąszcze płużyńskiego boru prowadzi droga około gładkich, jak szyba lodu, wód Świtezi: leży oddalony o pięć mil od stolicy powiatu majątek Tuhanowicze, własność zamożnej niegdyś rodziny Wereszczaków, a dziś należący do pani Konstancji Tuhanowskiej.

Tuhanowicze—były co się zowie rozległym majątkiem, świadczącym o panującym tu dobrobycie i dostatku. Szeroko zabudowany dwór i górująca nad nim oficyna, przytym mnóstwo budynków gospodarskich dla czeladzi i oficjalistów, a nadto starannie i umiejętnie utrzymany ogród, nadawały Tuhanowiczom pozorną przynajmniej cechę rezydencji wielkopańskiej, pozorną mowię, gdyż w tym

*) «Świtez» A. Mickiewicza.
**) Gub. Mińskiej.

właśnie czasie, na który przypada nasze opowiadanie, puścizna ś. p. marszałka Wereszczaki, którą po śmierci męża zarządzała wdowa z dwoma synami, Michałem i Józefem, znacznie już była nadszczerbioną. Liczne zjazdy okolicznego i dalszego obywatelstwa, polowania i zabawy, nie schodzące prawie z porządku dziennego, o ile na oko podtrzymywały tradycyjną świetność i zamożność domu, o tyle z wolna przyczyniały się do upadku znacznej nie-niegdyś fortuny; ale że w rodzinie było dwóch młodych paniczów i panna na wydaniu, a wszystko troje lubiło towarzystwo, trudnoż było trzymać drzwi pod kluczem i starodawnym zwyczajem stały też one szeroko otwarte dla każdego, kto był łaskaw zawitać w ich gościnne progi.

Do takiego to domu, słynącego z wystawnego życia i wysokich koligacji, zdążało na skromnym wózku pewnego letniego wieczora 1818 roku dwóch młodych ludzi. Starszy z nich, o sympatycznym wyrazie twarzy i bujnych kruczych włosach, mógł mieć lat ze 23, gdy towarzysz jego, również jak tamten odznaczający się wyrazistością rysów i poetycką powierzchownością, wydawał się znacznie młodszy i w rzeczy samej liczył dopiero dwudziesty rok życia.

Ów starszy był to ukochany od wileńskiej młodzieży Tomasz Zan, — obok siedzący młodzieniec zwał się Adam Mickiewicz.

Władysław Piast (Wł. Bełza).

(Maryla i jej stosunek do Mickiewicza. Biblioteka Powszechna, Nr. 167. Złoczów).

5. Pokucie.

Cała przestrzeń podgórska w Kołomyjskim, której większą część mieliśmy przejeżdżać, nosi historyczną nazwę «Pokucia». Od czego właściwie wywieść należy tę



nazwę, czy od «pokacie» lub od wątpliwego słowa «poku-ta», czy wreszcie od miasta Kut, położonego na samej granicy galicyjsko-bukowińskiej nad Czeremoszem, — tak trudnym jest do rozstrzygnięcia, jak i ściśle oznaczenie granic samego Pokucia *). Stosunki fizjograficzne, geograficzne i przyrodnicze okazują, że Pokuciem jest pas ziemi, ciągnący się w południowo-wschodnim kierunku wzdłuż Prutu po obu stronach od źródeł rzeki Tłumaczka aż do ujścia Czeremoszu w pobliżu wsi Załucza. Nie jest jednak ta kraina jednostajną pod względem meteorologicznym, jako też florystycznym i faunicznym; przeciwnie, cały ten obszar ziemi powiatu kołomyjskiego, który zajmuje główną część dawnego Pokucia, należy do dwóch odrębnych światów.

Północną część, począwszy od Kołomyi, cechuje zbity, ciężki czarnoziem podolski z gliną dyluwjalną **) w potężnych częstokroć pokładach; zewnętrzna jej plastyka jest falisto-pagórkowata, z licznymi zagłębieniami lejkowatymi; wioski, osiadłe tu po jarach, odsłaniają się widzowi dopiero wtedy, gdy nagle z monotonnej wierzchowiny spuszcza się ku dolinom, poprzerzynanym potokami, płynącemi zwykle leniwie; poszycie drzewne, złożone przeważnie z dębu, grabu, klonu i osiki, a brak zupełnie drzew szyszkowych; uprawa roślin: hreczki ***) , kukurydzy, tytoniu i dyni, krom pszenicy, odbywa się na wielkie rozmiary; chów

*) Mamy w tym względzie różne zdania i zapatrywania historyków, np. d-ra I. Szaraniewicza, Lipińskiego i Balińskiego (w «Starożytnej Polsce»), Widmana (w Encyklopedji większej Orgelbranda), Tatomira (w «Geografji Galicji») i t. d. Według naszego zdania, pożądanym jest zawsze, skoro zachodzi jaka wątpliwość, oznaczenie jako granic np. dwóch ważnych rzek, w tym razie: Prutu i Czeremoszu, bo pociągnięcie takie granicy, aby szczegółowo wykazać wszystkie małe obszary, wioski i rzeczki do Pokucia niegdyś należące, nigdy się nie da uskutecznić, gdyż w rzeczywistości nigdy nie była to całość o ściśle określonych granicach i rozmiarach.

**) Pokłady geologiczne, powstałe wskutek potopu (diluvium).

***) Gryka.

bydła, przeważnie siwego, charakterystyczny świat ptasi, motylowy i żukowy ma w tym pasie przewagę — ogółem znajdziemy tu wszystko, co mieści w sobie i znamionuje świat stepowy.

Przeciwnie na południu od Kołomyi, tuż za Prutem, rozpoczyna się świat edrębny,—świat górski. Przekonują nas o tym niedalekie góry, piaskowiec karpacki w Myszyńcu, dalej solne źródła w Kniaźdworze, bukowę i smerekowe *) lasy, wreszcie sami mieszkańcy z właściwościami górskiego ludu, co wszystko razem dowodzi przewagi klimatu górskiego.

Na skrawku więc tego pasa, gdzie świat stepowy z górkim najsilniej się ściiera, na rozległej nizinie, pochylonej ku Prutowi, na jego lewym brzegu, leży miasto Kołomyja **). Wsi, przylegające do miasta od północy i wschodu z uprawnemi łąkami i rozrzuconemi po wszystkich stronach dąbrowami, przypominają pobliskie Podole, a wrażenie to złudne byłoby zupełnym, gdyby nie te góry, piętrzące się zdala na zachód i południe od miasta, gdyby nie ten rozlewny Prut, szumiący w górkim łożysku. Gdy staniamiy na znamienitszej wyżynie, oko bawi się zewsząd miłym widokiem. Swobodnie przebiega ono rozkoszne doliny i rozległe niwy na północy, a w przeciwnej stronie spoczywa na odległych wzgórkach i dosięga zaciemniałych lasów. Na ten wspaniały widok roztaczającego się przed nami krajobrazu poczuwamy mimowoli chęć udania się

*) Iglaste.

***) Między historykami panują wielkie sprzeczności co do wywodu nazwy «Kołomyja», to też nie możemy z historycznego stanowiska oprzeć się ani na dedukcji «Kołomyja» od łacińskiego wyrazu «colonia», lub od rzeczki Kołomyjki, gdzie dawniej «koła myto», ani też od bajecznej osady «Koło Myja», lub wreszcie od mniemanego założyciela Kolmana, króla halickiego. Od miasta otrzymał nazwę ulubiony taniec na Rusi Czerwonej a także pieśni, zwane kołomyjkami, szczególnież na Połuciu rozpowszechnione.

w te okolice, aby zblizka podziwiać piękność i rozmaitość przyrody, której powabom żadne serce, do uczuć szlachetnych zdolne, oprzeć się nie może.

Marceli Antoni Turkawski.

(Wspomnienia Czarnohory. Warszawa, 1880).

6. Katalończycy i Kastylczycy.

Towarzysz mój *) wymienił mi kilku znakomitych pisarzy katalońskich i gorąco zachęcał do bliższego zapoznania się z ich piśmiennictwem. Natomiast o mieszkańcach innych prowincji hiszpańskich wyrażał się z pewną niechęcią, osobliwie zaś o Kastylczykach.

Zadziwił mię nieco ten namiętny objaw separatyzmu. Niebawem atoli przekonałem się, że nie był on zjawiskiem odosobnionym, lecz że Katalonję od reszty Hiszpanji dzieli głęboki przedział, będący nie tylko następstwem odrębności językowej i etnograficznej, ale nadto wynikający z ogromnych różnic charakteru narodowego, jako też odmiennych stosunków ekonomicznych i społecznych.

...Jak wiadomo, ludność nadbrzeżną Katalonji stanowią potomkowie dawnych Fenicjan i Greków, którzy już w czasach odległej starożytności zakładali tu liczne osady. Szczególniej ci ostatni tłumnie napływali na wschodnie wybrzeża iberyjskie. Dzięki też tej kolonizacji, Katalończycy przedstawiają nierównie lepiej zachowany typ grecki, niż dzisiejsi mieszkańcy Hellady, albo też nadbrzeżnych okolic Tracji i Azji mniejszej. Osobliwie kobiety odznaczają się czystością rysów greckich i wielce też różnią się od niewiast kastylskich.

*) Katalończyk.

...W Hiszpanji walki byków są jednym z najulubieńszych tematów rozmowy. Budzą one powszechne zajęcie, przedewszystkim zaś głośniejsi bohaterowie, a mianowicie większą zręcznością odznaczający się *banderilleros* i *espadas*. Zdawało mi się, że i Katalonja nie stanowi pod tym względem wyjątku. Jakież było moje zdziwienie, kiedy, zapytawszy przy obiedzie jednego z moich sąsiadów o najznakomitszych toreadorów barcelońskich, następującą otrzymałem odpowiedź:

— Niestety, pod tym względem nie mogę pana objaśnić, gdyż wcale nie bywam na walkach byków. Wogóle my Katalończycy nie lubimy tego rodzaju widowisk.

— Ależ w Barcelonie — odparłem — jest przecież także *plaza de Toros*, a amfiteatr jej, jeden z największych w Hiszpanji, może pomieścić 10,000 widzów!

— Tak panie, ale to nie dla nas, to dla cudzoziemców. Po chwili zaś, widząc, że słowa jego nie są dla mnie dostatecznie zrozumiałe, dodał jeszcze:

— To dla Kastylczyków!

Tu mimowolnie przypomniały mi się uwagi mojego towarzysza podróży, zdradzające bardzo wyraźnie dążności separatystyczne. Po dłuższej rozmowie z moimi sąsiadami przekonałem się, że tkwiły one głęboko w usposobieniu Katalończyków, a oparte były nietylko na odrębności językowej, ale zarazem na ogromnej różnicy charakteru, dzielącej ich od innych mieszkańców półwyspu Pirenejskiego.

Katalończycy, podobnie jak ich praojcowie, są narodem nader inteligentnym, pracowitym i przedsiębiorczym. Z zamikowaniem zajmują się handlem i przemysłem i w tym celu wielu z nich mieszka nawet w innych prowincjach lub w kolonjach hiszpańskich. Dzięki swej niezwykłej obrotności i wytrwałości w pracy, ludność katalońska zamożnością i oświatą znacznie przewyższa mieszkańców

innych prowincji. Z tego też powodu Katalończycy nawet w swym własnym kraju nie chcą oddawać się wielu zajęciom, nie wymagającym wyższego stopnia inteligencji i wykształcenia, a w następstwie i nie popłatnym; i tak np. wcale nie garną się do urzędów publicznych. Piastują je przeważnie Kastylezcy, którzy w dość wielkiej liczbie napływają do prowincji katalońskich. Okoliczność ta wcale nie działa łagodząco na dawny antagonizm obydwuch narodowości.

Wskutek niezmiernej dumy tych przybyszów i przy nieustannym prawie ścieraniu się ich z ludnością miejscową, niechęć wzajemna wzrasta coraz bardziej, a Katalończycy w poczuciu swej niewątpliwej wyższości spoglądają na nich z najwyższą pogardą. Posuwają się pod tym względem nawet tak daleko, iż w ustach ich słowo *Castellano* jest prawie synonimem nieuka, żebraka i nie-dołęgi.

Przy takich stosunkach wcale nie możemy się dziwić, że w Katalonji bardzo silnie objawiają się dążności, wręcz przeciwne dzisiejszemu centralistycznemu ustrojowi królestwa Hiszpańskiego, i że coraz bardziej wzrasta w niej liczba zwolenników dawnej jej odrębności i swobód prowincjonalnych.

Aleksander Hirsberg.

(Hiszpanja. Wspomnienia z podróży. Lwów, 1896).

7. Hidalgo.

Przez dwa tygodnie bawiłem już w Hiszpanji, a nie widziałem jeszcze prawdziwego hidalga *). Wkońcu pod tym względem los nie okazał mi się zawistnym. Kiedy,

*) Nazwa szlachty, pochodzącej ze starych rodów.

stanąwszy na dworcu kolei żelaznej w Madrycie, zająłem miejsce w omnibusie hotelu, szumnie zwanego *Fonda de Embajadores*, wkrótce po mnie wszedł do tegoż omnibusu wykwiłtnie ubrany podróżny, o którym niebawem dowiedziałem się, że był typowym przedstawicielem tej warstwy społecznej.

Był to mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, średniego wzrostu i bardzo dobrze zbudowany. Włos kruczy i cera śniada zdradzały w nim Kastyleczyka, przedewszystkim zaś uderzała jego niezwykła, jakby sztuczna powaga, odznaczająca się dziwną przesadą.

Przez cały czas naszego przejazdu z dworca do hotelu siedział nieruchomie i nieustannie, jakby w głębokim zamyśleniu, spoglądał tylko przed siebie. Mogłem więc z wszelką swobodą dokładnie mu się przypatrzeć.

Przedewszystkim muszę wyznać, nie chcąc być niesprawiedliwym, że był to mężczyzna, jeżeli nie piękny, to przynajmniej bardzo przystojny... Ował twarzy miał kształtny, nos nieco orli, oczy dość wielkie i w pięknej oprawie. Usta, nader zgrabnie wykrojone, choć zaciśnięte, obok cery śniadej nadawały mu pewną cechę męską, zapowiadającą stanowczość charakteru. Ale cóż! kiedy wyraz jego oczu był senny i bezmyślny. Można w nich było wyczytać tylko dumę szaloną i najgłębszą pogardę dla swojego otoczenia. W całym jego zachowaniu się przebijało się poczucie swej nieskończonej wyższości. Wogóle na nic nie zwracał uwagi, a jeżeli czasem raczył na kogoś popatrzeć, to czynił to zawsze z głębokiem przeświadczeniem o niewymownej niższości istoty, którą zaszczycił swoim spojrzeniem. Rzeczywiście też sprawiał na mnie wrażenie bóstwa, a mianowicie boga egipskiego... Apisa*).

Aleksander Hirschberg.

(Tamże).

*) Nazwa byka świętego, czczonego przez Egipcjan.

8. Eskurjal.

Hiszpanie uważają Eskurjal za ósmy cud świata. Jakkolwiek zdania tego najzupełniej nie podzielam, to jednak muszę przyznać, że tak gmach ten olbrzymi, jak i okolice go otaczające należą do najciekawszych rzeczy w Kastylii.

Chcąc zwiedzić rezydencję tamtejszą i t. zw. Panteon, należy uzyskać osobne pozwolenie od ministra domen publicznych. W tym celu udałem się do pałacu królewskiego w Madrycie, w którym znajdują się biura tegoż ministerjum... Tutaj zalecono mi, abym po południu osobiście zgłosił się po odpowiedź. Jakoż istotnie o godzinie 5 wieczorem, po dłuższym oczekiwaniu, doręczono mi na wspinałym kartonie wypisane pozwolenie, opiewające na moje nazwisko, a wystawione także dla «siedmiu osób mi towarzyszących», ale ważne wyłącznie tylko na dzień następny.

Nazajutrz więc z rana wyjechałem z Madrytu i po dwugodzinnej podróży stanąłem na stacji kolei północnej Eskurjal de Abajo, skąd omnibusem udałem się do Eskurjal de Arriba. Ten ostatni jest właściwym celem wycieczek turystów.

Ogólne wrażenie, jakiego doznałem na widok tej miejscowości, było nad wszelki wyraz smutne i ponure. Z lewej strony ciągnął się olbrzymi gmach, wybudowany z szaro-żółtawego granitu, prawie bez ozdób architektonicznych, zimny i surowy, a dalej bezbrzeżna, zupełnie spalona od słońca wyżyna kastylijska — z prawej zaś na spadzistych stokach wzgórz szereg dość skromnych zabudowań, a następnie skaliste, nagie i poszarpane szczyty Guadarramy. Oto ulubione miejsce pobytu Filipa II, które po długim namyśle wybrał na budowę swej rezydencji!

Niemniej charakterystyczne były powody, które skłoniły go do wzniesienia tego gmachu. Jak wiadomo, w roku 1557 w dzień św. Wawrzyńca *) odnieśli Hiszpanie zwycięstwo nad armją francuską pod St. Quentin, a wkrótce potem zdobyli nawet to miasto. Podczas oblężenia ostrzeliwały działa hiszpańskie kościół, poświęcony temu męczennikowi. W oczach Filipa II było to straszną obrazą, wyrządzoną św. Wawrzyńcowi. Pobożny ten monarcha, chcąc wyjednać sobie jego przebaczenie, a zarazem upamiętnić odniesione wówczas zwycięstwo, złożył ślub uroczysty, że na cześć jego wybuduje klasztor wspaniały, z którym połączy także pałac i grobowiec dla rodziny królewskiej.

Przez trzydzieści lat poświęcał Filip II wszystkie chwile wolne wykonaniu tej myśli i osobiście doglądał budowy. Przez lat kilkanaście, bawiąc w Eskurjału, mieszkał w ubogim domku proboszcza wiejskiego i codziennie po parę godzin przepędzał w naprędce zaimprovizowanej kaplicy, nie zaopatrzonej ani od deszczu, ani od wichrów. W roku 1577 podczas burzy uderzył piorun w jedną z wież klasztoru. Wkrótce znaczna część budowy stanęła w płomieniach; pożar trwał przez całą noc i niemało zrządził spustoszenia. Król nie żałował jednak szkód poniesionych i tylko niezmiernie był dotknięty stratą kilku relikwji, które również zgorzały. Pocieszył się dopiero, dowiedziawszy się, że ocalono kawałek drzewa z krzyża św. i rękę św. Wawrzyńca, patrona Eskurjału.

Wreszcie po dwudziestu latach wzniesiono gmach ten olbrzymi. Jeżeli istotnie zadziwiającą jest szybkość, z jaką dokonano tej budowy, i jej wielkość niepospolita, to niestety jest to jedyną jej zaletą.

*) 10 sierpnia.

Dziwnie też niesmacznym był już sam pomysł założyciela, aby klasztor ten kształtem swym przypominał męczeństwo św. Wawrzyńca, który — jak wiadomo — poniósł śmierć, pieczony na ruszcie*). Temu też odpowiada tak rozkład jego, jak postać zewnętrzna. Jest to ogromny czworobok, na którego rogach wznoszą się cztery wieże. Te ostatnie mają wyobrażać nogi rusztu, a rękojesé jego część pałacu królewskiego, wystająca od strony północno-zachodniej. W obrębie tego gmachu mieści się wspaniała bazylika z dwiema wieżami u wejścia i wielką kopułą nad transeptem**), a nadto kilka pawilonów, tworzących jakby kratę wewnątrz czworoboku.

Kiedy wszedłem do jednej z bram Eskurjału i zacząłem błądzić po licznych jego podwórzach i długich korytarzach, doznałem podobnego wrażenia, jak na widok jego strony zewnętrznej. Wszystko świadczyło o jego ogromnych rozmiarach, ale zarazem zupełny brak ozdób i nieskończona jednostajność linii usposabiały w sposób dziwnie smutny i ponury. Uczucie to potęgowało się pod wpływem przejmującego chłodu, jaki zawsze panuje tam, nawet w dni najbardziej upalne.

...Z biblioteki udałem się do kościoła, znajdującego się w obrębie tego gmachu. Jest to wielka bazylika, wybudowana także z szaro-żółtawego granitu i podzielona na trzy nawy czterema olbrzymimi filarami, odznaczająca się prawie zupełnym brakiem ornamentyki.

Ogólne wrażenie jej również zimne i ponure. Jedyne wyjątek stanowi «*capilla mayor*», zawierająca wielki

*) Archidjakon Wawrzyniec, czyli Laurenty, ulubiony uczeń papieża Sykstusa II, poniósł śmierć męczeńską za cesarza Walerjana w r. 257 za to, że wzbraniał się wydać fundusze kościelne, przeznaczone na utrzymanie ubogich. Św. Wawrzyniec zginął w trzy dni po śmierci męczeńskiej Sykstusa II

**) Skrzydło, przecinające główną nawę kościoła.

ołtarz. Ściany jej, wyłożone marmurami i przepysznie złocone, pokrywają niezłe rzeźby i obrazy. Podobnie przyozdobione są także oratorja w bocznych ścianach kaplicy. Pewną cechę charakterystyczną nadają jej dwa szeregi ogromnych posągów z brązu, przedstawiających członków rodziny królewskiej w postawie klęczącej. Następnie zwiedziliśmy podziemia bazyliki. Najwspanialszą ich częścią jest tak zw. Panteon, przeznaczony wyłącznie dla królów hiszpańskich, jako też tych z ich małżonek, które pozostawiły po sobie potomstwo. Jest to sala ośmiokątna, mająca dziewięć metrów w średnicy i mniej więcej takiejże wysokości, cała wyłożona jaspisem albo drogiemi marmurami, olśniewająca wielką ilością ozdób z brązu, bogato złoconych. Przepych ten dziwnie odbija od całego otoczenia.

Nierównie skromniej przedstawiają się grobowce, w których leżą królowe, zmarłe bezpotomnie, infanci i infantki hiszpańskie. Są to zwykłe sarkofagi ze *stuc'u**); dość znaczna ich część dotąd nie zajęta.

Wkońcu oprowadzono nas po pałacu królewskim. Przeważnie nie ma on prawie żadnych cech charakterystycznych. Przechodziliśmy przez szereg sal, których umeblowanie z różnych pochodzi czasów i nie odznacza się ani wykwintnością, ani smakiem artystycznym. Jedyłą ich ozdobę stanowią wcale piękne kobierce.

Wreszcie pokazano nam rzecz niewątpliwie najciekawszą w Eskurjału. Jest nią pokój, w którym mieszkał Filip II i gdzie też po długiej chorobie życie swe zakończył. Istotnie zdumiewającą jest prostota tak izby tej, jak sprzętów, w niej znajdujących się. Ściany jej wapnem pobielone i zupełnie nagie. Wielki stół dębowy, nader

*) Stuk (z włoskiego), mieszanina wapienia i marmuru białego sproszkowanego, używana do ozdób architektonicznych wypukłych.

skromny fotel, skórą obity, i dwa małe krzeselka — oto całe jego ubelbowanie. Tutaj pracował ten potężny monarcha, tu przyjmował najwyższych dostojników i posłów państw zagranicznych! W sąsiednim alkierzu *) była sypialnia królewska, takąż samą odznaczającą się prostotą, graniczącą z ubóstwem.

Aleksander Hirsberg.

(Tamże).

9. Uprzejmość hiszpańska.

Dzięki niesłychanej uprzejmości profesora Vilanova i innych, dawniej nieznanym mi osób, co chwila nowerobię znajomości.

— Nie znasz pan — pyta mnie mój zacny przyjaciel — pana NN. — historyka, uczonego, literata, lub inną jaką znakomitość?

— Nie miałem jeszcze przyjemności... — odpowiadam.

— Racz przeto przyjąć ode mnie ten list, ten bilecik polecający...

Bilet brzmi jak zwykle: «*El dador de esta tarjeta*» (oddawca niniejszego), ale poprzedza te słowa skrótowiec takie: B. S. M., czyli «*beso sus manos*», całuję rączki pana. Jest to tak utarta formuła, a przytym tak powszechna, że bez niej żadnej karteczki, bileciku napisać nie można.

Z takim poleceniem w rękę poznałem tu niezliczoną liczbę dostojników, profesorów, artystów, literatów, doznając wszędzie niezwyklej uprzejmości. Jako osobliwość przy przyjmowaniu gości, przytoczę jedną okoliczność, która mnie zawsze raziała i z którą jeszcze się oswoić nie umiem.

*) Z łacińskiego *arcus* = łuk, sklepienie; oznacza pokój boczny, bokówkę, przegrodzenie w izbie. (Niem. Erker). Co do zmiany łacińskiego *r* w *l* porów. mur, mularz (zam. murarz).

Wchodzę do salonu, podawszy naprzód gospodarzowi mój bilet wraz z poleceniem. Gospodarz wychodzi — wita i odzywa się w te słowa:

— *Ponga Usted su sombrero.*

Gospodarz prosi, abym nakrył głowę. Wzdragam się. Nie wiem, co to ma znaczyć. Gospodarz nalega. Jeszcze się waham. Nareszcie ustępuję natarczywym prośbom i kładę kapelusz na głowę.

Widocznie ma to być dowód uprzejmości ze strony gospodarza. Nie sędzę, aby to był zwyczaj żydowsko-talmudyczny, boć przecież w całej Hiszpanji Żydów bardzo mało, prócz kilkunastu kupców i bankierów.

W innym domu spotyka mię ten sam zaszczyt. Ośmielony nareszcie pytam pewnego razu gościnnego Hiszpana, dlaczego mam w kapeluszu siedzieć, kiedy sam gospodarz głowy swej nie nakrywa.

— Wchodzi pan ze dworu, spocony, może zgrzany, w mieszkaniu zaś chłodno, łatwo się zaziębić. Katar, reumatyzm i t. d.

Po tym wyjaśnieniu dopiero zrozumiałem skwapliwość, z jaką mię do włożenia na głowę kapelusza zachęciano. Ta okoliczność sprawia, że i w Ateneum*), owej resursie literacko-naukowej wszyscy niemal siedzą i pracują przy stołach kilka godzin w kapeluszach.

Adolf Pawiński.

(Hiszpanja. Listy z podróży. T. 1—2. Warszawa, 1881).

*) Od lat już wielu istnieje w Madrycie prywatne stowarzyszenie literacko-naukowe, noszące tytuł «*el Ateneo*». Jest to rodzaj klubu albo resursy, właściwie zaś kółko literacko-biblioteczne. Resursą — jak u nas istnieją owe nieszczęśliwe instytucje, gdzie się w karty grywa po całych nocach — nie jest bynajmniej Ateneum madryckie. Nie masz też przy nim żadnej restauracji. Tylko kawy i herbaty można dostać na posiłek przy pracy naukowej lub przy rozrywce umysłowej.

10. Walka byków w cyrku na *plaza de Toros* pod Madrytem.

...I oto wypada na arenę w gwałtownym pędzie dumne stworzenie, wychowane w lasach południowej Hiszpanji, rogate dziecko gorącej Andaluzji. Kasztanowaty byk, rosły, łeb dźwiga do góry, uzbrojony w dwa potężne rogi. Lśnią zdala piekielnym ogniem dzikości czarne wielkie oczy. Zwą go *Cortijero*. Grzmot oklasków spadł na rogatego zapaśnika, który w połowie areny zatrzymał swój bieg chyży. Olśniony po raz pierwszy widokiem kilk tysięcznego tłumu, ogłuszony hukiem klaszczących dłoni, stanął jak wryty.

Konie pikadorów*) mimowoli drgnęły, niespokojnie cofając się ku barjerze. Kilka sekund upływa w niecierpliwym oczekiwaniu. Czyżby nieprzyjaciele swe siły mierzyli? Czyżby byk układał sobie w swej głowie rogatej plan krwawej walki? Stoi nieruchomo, kopytami tylko porusza ziemię, niecierpliwie rzucając ją w tył siebie.

Podbiegają ku niemu «*capeadores*»**) i rzucają mu w oczy czerwone, karmazynowe płaszcze. Jeden z prawej,

*) *Picadores* wyglądają niby błędni rycerze à la Don Quichotte. Ich wiatronogie rumaki przedstawiają istny obraz nędzy i rozpaczy końskiej. Wychudłe, wymęczone *szkapy* dźwigają na swych grzbietach ciężkie siodła, a na nich rycerzy, którzy mimowoli uśmiech na usta wywołują. ...Na całym ciele noszą oni blachy, paklerze, nagolenniki, naramienniki, aby się zabezpieczyć od uderzenia rogów wściekłego i rozjuszonego byka. Cały ten jednak rynsztunek ukryty jest przed wzrokiem widza pod powłoką grubych łosiowych społni i łosiowego kaftana. Krótki spencerek, ubrany w świecące, wielkie guzy, szamerowany różnokolorowym haftem i wielki kapelus z o małej głowie a szerokich skrzydłach dopełnia obrazu tego teatralno-cyrkowego stroju. W prawej ręce dzierży każdy pikador tego drzewce, zakończone krótkim żelaznym ostrzem. Jedyna to broń, którą się ów rycerz błędny potyka z nacierającym nań bykiem.

**) *Capeadores*—to gladiatorowie piesi. Na obu ramionach mają zarzucone purpurowe togi, poibite jaskrawo-żółtym aksamitem; lewy róg togi niosą ułożony w fałdy na lewej ręce. Drażnią oni byka togią, rzucając mu ją w oczy.

ten z lewej, ów wprost biegnie ku niemu. Ponsowy kolor drażni oko byka. Więc też, bez żadnego namysłu, osłupiałe aż do tej chwili zwierzę sunie, jak strzała, nachyla głowę ku ziemi, aby na rogi wziąć przeciwnika. Zręczny *capeador* jednak dobiega do barjery i w zwinnym skoku przesadza wysoką ścianę, u której byk w swym biegu się zatrzymuje.

Podbiegają inni «*capeadores*» ze swemi purpurowemi kapami i znów w odwrotną stronę odwracają uwagę byka. Gonitwa się powtarza. Przejmuje nas co chwila obawa, azali się jeden lub drugi z torerów nie dostanie na rogi. Jeden krok, jedna chwila, a śmierć niechybna go czeka.

— Nie obawiaj się pan o nich, rzecze nam ku pociesze sąsiad Hiszpan. Dbają oni o swoje życie i daremnie narażać go nie będą, zwłaszcza że ten pierwszy byk Cortijero nie wart. Źle się zapowiada dzisiejsze igrzysko. Toć to nie bestja, ale jagnię! Ten krzywdy nikomu nie robi.

— Dlaczegoż się pan tak lekceważąco odzywa o byku? — zapytałem ciekawie.

— Bo to jakieś popychadło, to nie byk prawdziwy. Już widzę, że będzie fjasko. Nie ma ognia, wściekłości, rybia krew. To rzecz nudna.

Nie odrywam jednak oczu od byka na arenie. Drażnią ustawicznie wzrok jego, ale zwierzę rogate nie następuje*), nie zaczepia, nie napada, tylko się broni i co chwila cofa się, zajmując pozycję odporną. Na konie nie naciera, pikadorowie siedzą spokojnie na swych rumakach, podjeżdżają: byk się zbliża, ale gdy drzewce ujrzy, ustępuje, jakby ofiarowanej sobie walki przyjąć nie chciał.

*) zam. naciera.

Powstaje szmer w tłumie, słyhać sykanie, świst się powiększa, coraz głośniejsze dochodzą nas sarkania. Oburza się rzesza, miota obelgi przeciwko bykowi, narzeczcie wzbiera coraz większe niezadowolenie, jak górski potok podczas nawałnicy, i wkońcu wylewa się wielkim świstem, który płynie z tysiąca ust niezadowolonych widzów. Byk wyświstany, zelzony, sponiewierany. Ale oznaki niezadowolenia nie wpływają na rogate zwierzę. Więc: «*fuego, fuego!*» — «ognia, ognia!» — wrzasnął zniecierpliwiony tłum kilkutysięczny.

Wybiegli w okamgnieniu dwaj zwinni *banderilleros**). Jeden z nich podbiegł do byka, niosąc w ręku dwie rury żelazne, w haczyki zakończone, a ubrane we wstęgi i różnokolorowe papiery. Stał przed dzikim zwierzęciem, które nachyliło głowę, żeby nieprzyjaciela wziąć na rogi; ale zręczny chłopiec podskoczył do góry, w okamgnieniu przesunął pomiędzy rogami dwie strzały, zahaczył je na karku byka i odskoczył w tył, śpiesznie uciekając przed swym przeciwnikiem. Zręczność takiego *banderillero* przechodzi wszelki opis, wszelką pochwałę. Cała ta sprawa zawieszenia na karku byka tych petard, tych rur żelaznych odbywa się w jednej sekundzie i trwać nie może dłużej, jak błyskawicy światło. Jedna tylko sekunda. Byk nachyla głowę, żeby przeciwnika wziąć na rogi,— w tej jednej sekundzie trzeba strzały zahaczyć i odskoczyć tak chyżo, żeby umknąć przed pogonią rogatego zwierza.

Ledwie zawisły rurki żelazne na szyi byka, rozległ się z nich trzask, jak huk kilku fuzji, zapłonął ogień, ogarnął sierść na karku, spłonęły włosy; nowy huk się

*) *Banderilleros*, chłopcy, którzy niosą w ręku długie żelazne strzały — *banderillas*, aby niemi w danym razie podrażnić skórę byka nie dość wściekłego.

rozległ z drugiej petardy. Jeszcze parzący ogień... Skóra się popryszczyła, krew broczyć zaczęła.

Ucichł świst niezadowolonego tłumu. Byk ukarany za swą łagodność. Dano mu ostrogę krwawą, palącą. Pobudka poskutkowała. Byk z bólu wydał ryk przeraźliwy, kopytami wyrzucał ziemię gniewliwie z pod nóg i zapieenił się od złości. Zapewnie wpadnie na konie, co stoją u barjery, dźwigając na grzbietach owych rycerzy błędnych—pikadorów.

Ale nie! Byk zniósł, jak stoik, ciężką, nieludzką karę; pogonił raz i drugi za purpurowym płaszczem, który mu w oczy rzucił ten lub ów kapeador i znów kontemplacyjnie rzucał okiem to w prawo, to w lewo.

Oceniając zniecierpliwienie tłumu, widząc zawód na obliczach spektatorów, wystąpił niebawem Lagartijo, *espada* *) w kosztownej błękitnej barwie lśniącej, jak promienie złotego słońca na lazurze pogodnego nieba, i postanowił koniec położyć tej scenie gorszącej. W rękę jego tylko szpada, nie dłuższa nad łokieć, cienka jak rożenek. To cała jego broń przeciwko olbrzymowi. Byk pieni się, ryczy z bólu. Staje przed nim espada, spogląda mu w oczy, mierzy go wzrokiem. W lewym rękę trzyma muletę **). Byk broń nastawia, espada purpurową chustą drażni i myli wzrok jego, a sam w zręcznym skoku uchyla się na bok. Byk głowę zwraca w prawo, espada zwinnie przerzuca się na lewo, a zawsze w odległości tak blizkiej, tak niebezpiecznej, że jeden cal, jeden krok chybiony, a żywot jego skończony, śmierć niechybna.

*) Espada—to główny bohater walki byków. Jednym pchnięciem szpady powinien on zabić byka.

***) Muleta jest to laska, wzdłuż której przytwierdzona jest nie wielka chusta ponsowa.

Ciężka to chwila, widok męczący, tak, jak przykrym jest widok wogóle człowieka, który na jawne niebezpieczeństwo swe życie naraża. Wzajemne badanie się byka i espada trwa kilka, niekiedy kilkanaście minut. Espada mierzy wzrokiem swego przeciwnika, jego ruchy, jego temperament. W chwili groźnej lewą ręką rzuca mu w oczy purpurową chustę. Nareszcie upatruje chwilę, podnosi szpadę, byk uchyla głowy, aby rogi utopić w żywocie przeciwnika, tymczasem espada uprzedza zamierzony cios śmiertelny i w jednym oka mgnieniu zagłębia swoją szpadę aż po rękojeść w karku byka pomiędzy łopatkami.

Działanie ciosu jest tak gwałtowne, jest tak piorunujące, że espada, lubo pozbawiony broni, z gołą ręką spokojnie spogląda w zamglone oczy przeciwnika. Już z nich śmierć straszna przeziara. Siła złamana, rogi stępione. Już ich nie skieruje ku niemu kark obezwładniony. Jeszcze jedna sekunda. Byk pada na przednie kolana. Trzyma się jeszcze chwiejnie na tylnych. Majestatyczna pozycja! Zręczność gladjatora odnosi zwycięstwo i tryumf. Dumny swój kark ugina dzikie zwierzę. Już krew pyskiem broczy. Jeszcze jedno tchnienie. Słabną tylne nogi. Ciężaru ciała utrzymać nie mogą. Byk się wywraca. Konwulsyjne drgnienia zapowiadają zbliżającą się śmierć. Zapasy skończone*).

Rozlega się gwałtowny oklask, jak huk burzy, jak trzask tysiąca drzew, łamiących się w lesie dziewiczym podczas strasznej nawałnicy. Okrzyki napełniają powietrze. Lagartijo oddaje ukłon niski łoży królewskiej**),

*) Należy zwrócić uwagę na trafnie użyty w tym ustępie styl ucinkowy.

**) Gdzie siedział król Alfons XII z przybyłymi w odwiedziny książętami bawarskimi.

a później zwraca się do tłumu, który gorącym, przeciągłym, głośnym oklaskiem składa bohaterowi na arenie podziękowania, hołdy.

Odetchnąłem swobodniej. Ołowiana atmosfera obawy, wzruszenia, mniej dotkliwie me piersi tłoczyła. Lżej na sercu się zrobiło. Zabrzmiały trąby, puzony. Rozległy się dźwięki żałobnego marsza. Odsunięto barjerę. Wpadły na arenę cztery kare konie, żeby oddać przysługę powalonemu o ziemię rogatemu zwierzęciu. Powoduje niemi na długich lejcach dwóch pachółków barwnych. Konie rżą głośno. Słysząc ich głosy wśród dźwięków żałobnego grania. Zakładają orczyki za nogi byka, zaprzęgają konie. Rozlega się trzask z bicia, i czwórka rumaków ciągnie przez arenę martwego byka, który nazajutrz stanie się łupem głodnych żołądków w szpitalach miejskich Madrytu.

Akt pierwszy igrzyska skończony. Mamy jeszcze pięć przed sobą. Pięć byków w stajni cyrkowej czeka, żeby ostatecznie ulec temu samemu losowi, co pierwszy Cortijero, i dostarczyć jeszcze materiału do zabawy na całe trzy godziny.

Pozwolimy sobie umniejszyć czytelnikowi trudu i nie damy mu szczegółowego opisu wszystkich następnych pięciu aktów. Nie będziemy opowiadali, jak się popisywał byk Rabituerto, jak się odznaczył Cosario, co zrobił Barbero, czym zasłynął Beleto, czego dokazał Cisquero, jak zdobył sobie laury espada Currito. Gdybym pisał korespondencje do hiszpańskiej gazety, nie mógłbym się oczywiście dopuścić takiego lekceważenia. Ale gdy dla naszych czytelników obojętnym być może, czy się tak lub inaczej jeden lub drugi byk popisywał, więc, pomijając szczegóły, wystawię tylko kilka wydatniejszych rysów z dalszej walki podczas igrzyska. Bo pierwszy akt się nie udał, przynajmniej nie zadowolił tłumnych widzów i nie może być przeto za wzorowy, za typowy uważany.

Dopiero następne byki były wściekłemi, jak istne dzikie bestje. Ryczały jak lwy w pustyni. Z nozdrzy ich, jak z paszczyki smoka, zionął ogień szału. Walczyły swą krzywą bronią tak zręcznie, tak zwinnie a tak namiętnie, jak istny gladiator rzymski. Wtedy zapął całej rzeszy nie znał granic. Śmiech, radość, zachwyt na widok krwi, rannych koni, powalonych o ziemię pikadorów, ogłuszał powietrze, napełniał serce, poruszał duszę Hiszpana.

Więc kilka tylko wydatniejszych jeszcze przedstawię rysów, które mi się zebrać udało z pojedynczych spostrzeżeń.

Ucichła muzyka i przebrzmiały tony żałobnego marsza, którym pożegnano powalonego o ziemię byka. Oczy tłumu zwrócone ku bramie, z której, jak kamień z procy, wypadnie dziki zapaśnik. Niecierpliwi nie są wystawieni na długą próbę. Po upływie kilku chwil otwierają się szerokie wrota i na arenę wypada jasno-gniady byk, który od pierwszej chwili objawia swój temperament gorący. Witają go grzmiące oklaski. Ale huk i trzask go nie ogłusza. Widok ludzi go nie razi. Nie stanął na środku areny, aby wokół spokojnie rzucić spojrzeniem i zmierzyć nieprzyjaciół, ocenić ich siły. On, jak koń stepowy, ruszył z kopyta i w szalonym pędzie mknął ku barjerze przeciwległej, gdzie szeregiem stanęli na swych rumakach pikadorowie. Pędzi na nich, jak błyskawica. Z prawej i lewej strony rzucili swe płaszcze purpurowe giermkowie, aby odwrócić i rozproszyć uwagę rogatego najezdźnika. Ale byk widocznie trzyma się zasady: kto na placu, ten nieprzyjaciół. Wpada wprost na konia. Pikador uderzył drzewcem między rogi byka, lecz ten lekki cios nie powstrzymał gwałtownego natarcia. W jednej chwili utopił rogi swoje w jelitach konia, szarpnął niemi raz i drugi, uniósł rumaka wraz z jeźdźcem do góry. Pikador zwałił się ca-

łym ciężarem na ziemię, przygnieciony przez upadającego konia.

Podbiegli natychmiast *capeadores* ze swemi purpurowemi płaszczami. Rzucają je w oczy, drażnią byka. Byk na jaskrawy kolor nie zwraca uwagi. Konia nie odstępuje. Uderza go w biodro, raz, drugi. Pieni się i ryczy. Chce roznieść na kawałki już nieżyjącego przeciwnika. Tymczasem straszne jęki wydaje przywalony pikador, którego z pod konia wydobyć nie można, bo giermkowie przystępu nie mają. Grozi im niebezpieczeństwo. Byk wpadnie, rozszarpie, stratuje.

Zrozumieli inni pikadorowie naturę groźnego przeciwnika. Widocznie byk ten głównie koni nienawidzi. Niczym go od powalonej już ofiary nie odciągnie, tylko gdy koniem nadjedzie. Trzeba mu na ofiarę przynieść innego rumaka. Podjeżdża więc ku niemu dwóch, trzech pikadorów. Byk na nich się rzuca.

Więc gdy się tu nowy wywiązuje pojedynek, giermkowie wydobywają owego pierwszego rycerza, który szczęśliwie wydostaje się na wierzch, niewielki szwank poniósłszy na głowie i rękach. Wynoszą go śpiesznie z areny, żeby opatrzeć jak najprędzej jego rany. Byk stacza walkę z nowemi przeciwnikami. Uderzony między rogi przez zręcznego pikadora, odskoczył w tył, zapienił się, nachylił głowę ku ziemi, ogonem rzucił ku górze, jak Herkules maczugą, i znów pod konia. Rozpruł jednemu pierś. Uderzył na drugiego z boku. Rozpruł brzuch rumaka, jak gdyby dwa wielkie noże miał na rogach. Wypadły jelita. Koń z bólu piekielnego ruszył, jak szalony, z miejsca, unosząc na sobie pikadora, który daremnie na miejscu chciał utrzymać bieguna. Pędzi przez arenę nieszczęśliwe zwierzę, a za nim jego własne ciągną się jelita, krwią zbroczone, tarzające się w piasku. Na kilkanaście łokci snuje się krwawe pasmo trzewiów. Tylna noga

plącze się w tym kłębie zwiniętych jelit, koń wierzga i pada nareszcie wśród drgań konwulsyjnych. Pikador zręcznie się z siodła wydobywa i w śpiesznej ucieczce szuka ocalenia.

Widok to straszny, okropny, oburzający! Pióro nie jest w stanie oddać całej zgrozy tego ohydneho igrzyska. Zamknąłem oczy na chwilę. Zimny pot na czoło wystąpił. Chciałem wybiec z cyrku, porzucić arenę, już nigdy tu nie wracać. Ale wśród tego tłumy, wśród ścisku odwrót niemożliwy. Krew strumieniami płynie. Ogniem radości zapaliły się oczy wszystkich. Igrzysko budzi ku sobie zajęcie. Namietność zaczyna wzrastać. Byk dziki, gwałtowny, szalony, zbiera huczne oklaski. Na słowa pochwalne niema czasu. Tylko dłonie namietnie wyrażają to, co się w sercu dzieje.

Scena rozwija się dalej. Byk zapala się własną złością. Ukryli się kapeadorowie. Purpurowych płaszczy nie pokazują. Siła przeciwnika piekielna. Walka nie ustaje na chwilę. Inne konie, co stały na boku przy barjerze, drżą ze strachu. Z oczu byka bije, jak łuna, blask jego namietności. Wpada na konia. Pikador uderza drzewcem, ale niezręcznie. Byk topi jeden róg we wnętrznościach rumaka. Odbiega na środek areny i goni znów, jak widmo nocne, dwóch kapeadorów, którzy mu przerwali na chwilę to szarpanie nieszczęsnego konia. Szczęściem, że dobiegli do barjery: płaszcze pogubili, ale zręcznie przesadziwszy szranki, uratowali swe życie. Tymczasem koniowi z rozprutego brzucha jelita wypadły. Giermkowie podbiegli, wnętrzności znów włożyli, pakułami zatkawszy otwór wielkości ręki człowieczej.

Byk pochwyił na rogi jeden ze zgubionych płaszczy i począł biegać po arenie, jak gdyby się bawił swą chorągiewką przygodną. Nie było czasu uprzątnąć trupów powalonych już koni. Byk taką pałał wściekłością,

że jeszcze puścił się na bezbronnych przeciwników, szarpiąc ich wewnątrzności.

Ośm koni z rzędu przyprawił o śmierć jeden byk szalony. Nie pamiętano dawno takiej zażartości dzikiej bestji. Zadowolenie było powszechne. Podziwiali wszyscy moi sąsiedzi i głośno chwalili niepospolitą siłę rogów i karku tego zwierzęcia niestrudzonego. Jeśli na dwa rogi brał rumaka, a dobrze je osadził w jego wewnątrznościach, to podnosił konia i rycerza na łokieć od ziemi. Większego żadnego nieszczęścia się nie przytrafiło, krom silnego potłuczenia dwóch pikadorów, których upadający koń przytłoczył do drewnianej barjery. Jeden poranił sobie głowę, drugi rękę podobno zwichnął.

Nikt nie domagał się ognia. Nikt nie krzyczał: *fuego, fuego*. Sztucznych środków do podburzenia bestji nie potrzeba było zupełnie. Naturalna jego dzikość wystarczała. Ale trzeba było koniec położyć temu bezkarnemu pastwieniu się nad nieszczęśnemi rumakami.

Wystąpił ze swą szpadą Currito, trzymając w lewym ręku ponsową mulecę czyli chorągiewkę. Drżałem o całość tego człowieka. Po tych szaleństwach byka, czy można było spokojnie i bez obawy patrzeć na gladjatora, którego całą broń wobec tej strasznej, rozjuszonej bestji stanowił rożenek stalowy? Trzeba być drugim Danielem, żeby wyjść cało z takiej lwiej jaskini.

Podziwiam zarazem odwagę espady. Staje on na jeden krok przed bykiem, którego rogi, zbroczone we krwi, lśnią jakąś piekielną barwą. Spotykają się oczy dwóch przeciwników. Wzrok byka pali się ogniem namiętności, wzrok espady spokojny, zimny a przenikliwy. Nim zwierzę sunie naprzód, nim zwróci swe rogi ku przeciwnikowi, trzeba z jego spojrzenia odgadnąć kierunek ruchu. Trzeba z oczu wyczytać myśli i zamiar rogatego zapaśnika. W tym tkwi część tajemnicy, na tym polega sztuka zręczności.

Więc wzrok orli jest konieczny, niezbędny. Wzrok śmiały a silny, niestrudzony. Jedno mrugnięcie okiem, a życie stracone. A znów dalej — zwinność w ruchach nieodzowna. Dopatrzyło oko, dokąd się zwróca rogi byka. Niedosć na tym. Trzeba jednym błyskawicznym skokiem w prawo lub lewo odwrócić od siebie cios stanowczy, uderzenie śmiertelne. Trzeba w oczy rzucić mu muletę i rozproszyc jego uwagę. Kilkanaście minut trwa to studjowanie byka i jego taktyki. Nareszcie espada upatruje chwilę. Udaje, że pozwoli wziąć się na rogi. Byk nachyla głowę, z zamachem chce uderzyć, a tu zwinny przeciwnik godzi w jego kark, aby swą szpadę utopić. Chybił. Szpada utkwiała, ale nie we właściwym miejscu. Zaledwie ugrzęzła na kilka cali. Espada stracił swą broń. Syknęła publiczność. Świst straszny rozległ się po arenie.

Byk zdołał wyrzucić szpadę płytko utkwioną w karku i z całą swobodą puścił się w pogoń za swym przeciwnikiem. Wystąpił w okamgnieniu, jak «*deus ex machina*»*), ulubieniec tłumów—Lagartijo i bez żadnych przygotowań, stanawszy przed bykiem, poprawił cios swego poprzednika. Rogaty zapaśnik legł odrazu na ziemię i ostatnie wydał tchnienie.

Tryumf Lagartija był wielki. On cudu dokazał. Nie namyślał się długo. Nie badał swego rozjuszonego przeciwnika. Wyciągnął rękę, uzbrojoną w wąską szpadę, i odrazu utopił ją w karku byka. A to miejsce śmiertelne, w które ugodzić należy, tak niewielkie, że się nawet z piętą Achillesa nie da porównać. Jakież więc oko potrzebne, jaka wprawa, jaka pewność w zadaniu ciosu, ażeby o jeden cal nie chybić!

*) Niespodziewane ukazanie się przy pomocy maszyny bóstwa w sztukach teatralnych, co powodowało zwykle pomyslnie rozwiązanie sytuacji tragicznej

To też tłumy, umiejące ocenić wielką trudność, niepomiarłą zręczność, niezwykle niebezpieczeństwo, nagrodziły espadę grzmiotem przeciągłych oklasków. Frenetyczny zapal ogarnął wkrótce kilkotypięzną rzeszę.

Posypał się grad papierosów i cygar na bohatera cyrkowego. Hiszpan traci równowagę umysłu w chwili, gdy jest świadkiem takiej sceny tryumfu gladjatora nad dzikim bykiem. Chce swe uznanie wyrazić. Nie ma bukietów. Zresztą to nie teatr. Jakżeby te kwiaty tu dziwnie wyglądały na arenie, krwią zbrczonej. Więc rzuca cygara, które espada przyjmuje chętnie. Ale gdy już wszystkie pociski powyrzuca ze swego kołczanu, a zapal trwa lub jeszcze się wzmacnia, chciałby w nim wziąć udział, manifestować swe uczucia. Chwyta za kapelusz jeden, drugi, trzeci. Chwytają szeregi, wszystkie ławy.

Lecą więc te *sombrero*, jak czarne kruki, i spadają na scenę. A Aragończyk, który kapelusza nie ma, tylko chustą przewiązał swą głowę? Czymże on biedny wypowie swe uznanie? Oklaski już przebrzmiały. Dłonią nastarczyć nie można. Więc gdy inni miotają swe kapelusze, on zdejmując swój spencerek wśród tej gorącej, namiętnej owacji i rzuca go na środek areny. Jakże wtedy krążą ustawicznie w powietrzu: to chusta, to kapelusz, to kaftan, to kamizelka! Kilka minut trwa ta scena pełna ognia, szału, uniesienia, do jakiego zdolna jest natura południowego mieszkańca.

Wylały się upusty wezbranych uczuć, przebrzmiało głośne echo oklasków, przebrzmiała burza okrzyków, wypadły piorunujące pociski zapalu elektrycznego i powoli wracać zaczyna równowaga. Gorączka minęła. Ten i ów się opamiętał. Cygar lub *cigarritos*, które rzucił, nie żałuje. Nie żał mu dłoni zboliałych od namiętnych uderzeń, ale żał mu kapelusza, żał spencerka. Więc giermkowie z areny znów w odwrotną stronę puszczają znalezione

przedmioty, przerzucając je ku poszkodowanym właścicielom. Nie zawsze zguba wróci według adresu. Mniejsza strata. Ten lub ów kapelusz — wszystko jedno. Ale uznanie było, ale zmanifestowały się uczucia, wzięło się udział w owacji. Oto jest *vox populi*.

Nie wspominam dalszych epizodów. Powtarzały się sceny jedna za drugą sześć razy. Sześć byków z kolei wypuszczano. Sześć też trupem legło. Zabitych koni było czternaście. Kilka rannych rumaków wyprowadzono z areny, żeby zapewnić zadać im ostatni cios śmiertelny i uwolnić ich od bolesnego dalszego żywota... inwalidów.

Igrzyska trwały trzy godziny. Zadowolenie było powszechne. Zadowolenie nasze również nie małe z tego, że się nareszcie skończyła ta straszna dla nas męczarnia. Z całą falą tłumu wypłynęliśmy przed pałac cyrkowy. Świeże powietrze wieczoru jesiennego pokrzepiło nasz umysł. Ale do równowagi nie tak łatwo wrócić było można. Wzruszenie w ciągu kilku godzin wstrząsało całym naszym jestestwem duchowym, moralnym. To były istne tortury. Wrażenia zapisywały się w pamięci krwią, śmiercią, rozbestwieniem, widokiem poniżenia godności ludzkiej. W duchu pytałem, czyliż należało unosić się ciekawością do tego stopnia, aby być niemym świadkiem barbarzyńskich igrzysk, które obrażają uczucia ludzkości w człowieku, gdyby nawet nie znał szlachetniejszych poruszeń serca?

Adolf Pawiński.

(Hiszpanja. Listy z podróży T. 1—2. Warszawa, 1881).

11. Polowanie na hipopotamy.

Wsiadliśmy do łodzi właśnie, gdy słońce wyjrzało od strony Bagamojo *) na widnokrąg. Dzień czynił się pogodny; mgła znikła bez śladu; gładka toń mieniła się w odbłyśki stalowe i różane, jakimi mieni się muszla perłowa. Potym przyszły poranne promienie słońca, jasne, jakby wykąpane, rozpały się w skry wielkie krople rosy na trawach i ozłociły rzekę. Kraj w rzeźwym świetle porannym wyglądał weselej, niż poprzedniego dnia. Na brzegach, w miejscach, gdzie woda była płytka i cicha, czaple i inne jakies ptaki, całkiem białe, może warzęchy, przechadzały się poważnie, przeglądając się w przezroczu. Na niektórych krzakach, pochylonych nad wodą, zwieszały się całe grona gniazd tkaczów, których tyle tu jest wszędy, ile u nas wróbli. Całe ich stada przelatowały z brzegu na brzeg, błyskając pod słońce żółtymi piórami.

Ciężka żelazna szalupa posuwała się zwolna, chociaż płynęliśmy w dół rzeki**). Przez czas jakiś nie widzieliśmy nic, prócz ptaków, gdy nagle, na jakie sto metrów przed łodzią, z gładkiej powierzchni buchnął naprzód słup rozpylonej wody i tuż potym ukazała się czarna, ogromna, jak kufer, głowa. Po strzale moim, prawdopodobnie chy-

*) «Jest to miasto znane ze wszystkich podróży afrykańskich. [Położone jest na wschodnim brzegu Afryki w sultanstwie Zanzibarskim, na przeciw wyspy Zanzibaru]. Wissman uczynił z niego stolicę posiadłości niemieckich, więc nazwa Bagamojo powtarzała się we wszystkich dziennikach. Rozszłał ją również i Stanley, który po odnalezieniu Emina przybył tu z nim i ze wszystkimi Egipcjanami, nie mającymi ochoty oddać w Ekwatorji głów pod miecz Mahdiego. Ale pomimo swej sławy, Bagamojo nie ma przyszłości, bo nie ma portu. Ocean jest tu tak płytki, że nasz «Redbreast» zmuszony był zatrzymać się o kilka kilometrów od ładu».

***) «Kingani płynie w pustej okolicy, wśród dość niskich, choć spadzistych brzegów, pokrytych krzakami blade-zielonej barwy».

bionym, głowa ta znikła pod wodą, lecz po kilkunastu minutach, ta sama, lub inna, znów ukazała się na powierzchni. Przywitaliśmy ją nowemi wystrzałami, poczym zaledwie zdążyliśmy nabić, ukazały się dwie naraz, w znacznej jednak odległości. Kazaliśmy naszym wiosłarzom posuwać się jeszcze wolniej i czynić mniej hałasu, wiosła bowiem chrobotwały głośno przy żelaznej łodzi.

Rzeka rozszerzała się coraz bardziej, i nakoniec wpełnęliśmy na wody, rozlane tak szeroko, że tworzyły jakby rodzaj jeziora, na którym już zdążyliśmy ujrzeć całe stado hipopotamów. Odległość była jeszcze tak znaczna, że miałem czas wziąć szkła teatralne, które przez całą podróż nosiłem na sobie, i przypatrywać się dowoli.

Głowy leżały płasko, jedno profilem, drugie zwrócone wprost ku nam. W jasnym świetle widać je było doskonale. Gdyby nie grzmiące oddechy, których odgłos dochodził aż do nas, i nie rozpylone wodotryski, wybuchające co chwila z nodrzy, można było, patrząc gołemi oczyma, wziąć te głowy za odłamy czarnych skał, wyrastających nad wodą. Zbliżyliśmy się jeszcze bardziej. Zwierzęta wreszcie zwróciły na nas uwagę, bo w stadzie uczynił się ruch. Niektóre głowy zanurzyły się cicho pod wodę, inne obróciły się ku łodzi, chrapiąc i strzygąc uszyszma. Posuwaliśmy się teraz bardzo powoli, by drganie łodzi nie przeszkadzało w strzelaniu. Miałem z sobą szprिंगierowski sztucer, kaliber 12, w którego lewą lufkę wkładałem pocisk ekspansywny*) na wypadek, gdybym na brzegu lub na mieliźnie ujrzał całe zwierzę i mógł strzelać pod łopatkę, a zaś w prawą — kulę, zakończoną stożkiem stalowym. Do głów można strzelać tylko taką, gdyż ekspansywna rozwija się na skórze, nie przebijając kości.

*) Pękający, wybuchający; mający własność rozszerzania się, rozpościerania się, rozpościeralny (z francuskiego «*expansif*»).

Wyspa ta, zostająca jakiś czas pod protektoratem niemieckim, niedawno odstąpioną została Anglii wzamian za Helgoland *), i z pewnością na tej zamianie ani kraik, ani ludność jego nie straciły. Sułtan zawsze oficjalnie rządu sprawuje, ale po pamiętnej, nieudanej próbie Said-Alego w r. 1895 wydobyć się z pod cudzoziemskiej przemocy i zbombardowaniu przez angielską flotyllę jego pałacu i haremów, stanowisko to zrobiło się czysto dekoracyjnym. Said-Ali, jak wiadomo, schronił się pod opiekę niemiecką i dotąd w Dar-es-Salam pod nią zostaje, a nowy sułtan Said-Hamud, który, mimo wątpliwych praw dynastycznych, — został osadzony na tronie przez Anglików, jest poprostu biernym narzędziem, malowaną lalką w ich rękę; bierze 40,000 rupji **) rocznej pensji od rządu i ciągnie, prócz tego, z ceł i podatków znaczne dochody, które mu pozwalają prowadzić życie wystawne. Nieopodal od miasta przejeżdżamy właśnie około wspaniałego pałacu, budującego się obecnie na letnią rezydencję dla sułtana.

Wyspa, na przestrzeni 29 mil kwadratowych, ma około 150,000 ludności, której dwie trzecie na stolicę samą przypadają. Z pozoru wydaje się to niemożliwym, ale trzeba być tylko trochę obeznanym z miastami wschodniami, aby pojąć, jak wielką ilość mieszkańców te zwarte mury pomieścić mogą. «Bundesrath» ***) stanął właśnie na kotwicy wprost pałacu sułtańskiego, który nie zupełnie podźwignął się jeszcze z gruzów, ale pomimo to ma wygląd dość okazały. U wejścia na bulwary stoi odwieczna śpiżowa armata, jedna z tych prawdopodobnie, któremi biedny Said-Ali próbował stawić czoło angielskim pancer-

*) Anglicy odstąpili Helgoland Niemcom w r. 1890.

**) Rupja kompanijska (*Company's roupee*), t. j. rupja kompanji wschodnio-indyjskiej, ma wartość $88\frac{8}{9}$ kopiejki.

***) Nazwa okrętu.

nikom. Wzdłuż przystani ciągną się dalsze zabudowania pałacowe, haremy, stajnie, zaś przy bramie głównej stoi klatka żelazna z pięknym lwem, niedawno schwytanym.

Zapuszczam się wgłąb miasta, bo pilno mi do misji, w której spodziewam się znaleźć najlepszą radę i wskazówkę co do spożytkowania mego pobytu. Trafić do niej nie łatwo wśród krętych i wązkich, jak korytarze, uliczek. Kilkunastu oberwanych Arabów i murzynów ofiaruje mi natrętnie swoje usługi, ale ciceronów *) z zasady nie znozę, opędzam się więc groźbą, a wreszcie i kijem. Nakoniec, dzięki wskazówkom jakiegoś Anglika, odnajduję dom misyjny, widocznie ze starego arabskiego przerobiony i podobny do innych otaczających go budowli. Tylko krzyż kamienny nad wejściem znamionuje obecne jego przeznaczenie.

Biskupa nie zastaję: wyjechał na objazd djecezji, czyli na kilkomiesięczną podróż wgłąb Afryki, ale misjonarze przyjmują mnie, jak najlepszego znajomego i nie dają mówić o powrocie na statek. U nich cały czas pobytu mam spędzić; tylko w misji samej pomieszczenie niedogodne, mam więc być przekazany ojcu Baurowi — *père Étienne*, jak go tu wszyscy nazywają. — który rezyduje przy szpitalu i tam będzie mnie mógł lepiej ugościć. Idę więc do niego w towarzystwie jednego z misjonarzy. Szpital położony nad samym wybrzeżem morskim i otoczony ładnym ogródkiem; świeżo tu, miło i swojsko; chorych chwilowo niema prawie wcale.

W obszernej celi, której drzwi szeroko na balkon rozwarte, zastaję pięknego o wyniosłej postawie starca z długą, jak śnieg białą, brodą, która mu spada poważnie na pierś.

*) Z włoskiego: *cicerone* (czytaj *cziczerone*), przewodnik.

W spojrzeniu dobroć i spokój, mimo śladów przebytych cierpień i trudów podczas kilkudziesięciu lat misjonarskiej pracy. To ojciec Stefan Baur, wspomniany przez Sienkiewicza w «Listach z Afryki». Z trudnością powstaje na moje przyjęcie: złamany wiekiem i chorobą, większą część dnia spędza w fotelu, mało na świat wychodząc.

Zawiazuje się rozmowa, a usłyszawszy, że jestem Polakiem, wypytuje mnie ojciec Stefan o Sienkiewicza i o jego towarzysza, których w tym samym szpitalu ugaszczał i pielęgnował, a dopytuje się serdecznie, z zajęciem, co chwila wspominając szczegóły z ich pobytu. Siedm lat po za krajem spędziwszy, mogłem mu tylko mówić o «Bez Dogmatu», «Quo Vadis» i o «Krzyżakach», które za oceanem nie pozostały mi obcemi — ale i cóż więcej o Sienkiewiczu powiedzieć, gdy on cały w dziełach swoich się streszcza. Przejęty byłem «Krzyżakami», tą powieścią nawskroś polską, której czytanie niedawno właśnie rozpocząłem, a powrót do kraju, spotkanie tutaj na krańcu Afryki śladów i wspomnień po naszym wielkim pisarzu, nastroiły mnie jeszcze goręcej. Mówiłem więc długo i starałem się ojcu Stefanowi wyjaśnić, jakiej miary dorósł Sienkiewicz i czym jest dla naszego narodu.

Stefan Poraj Suchecki.

(Wschodnim wybrzeżem Afryki. Wrażenia z podróży. Warszawa, 1901).

13. Połowanie na tygrysa w Indjach Wschodnich.

16 Marca (1890 r.). Gorący dzień w ścisłym i całym tego słowa znaczeniu. Nade dniem wpadł Hindus z wiadomością, że tygrys znowu wołu zabił i pożarł. Przechodzący przypadkiem niedaleko od tego miejsca przed północą mieszkaniec pobliskiej osady słyszał szamotanie

się i ryk biednego bydłęcia. W przeciągu 36 godzin za-
tym tygrys pożerał drugiego wołu. Nielada apetyt! Ze-
brawszy ludzi, ruszyliśmy do kniei i zajęliśmy miot *),
jak wczoraj; inaczej nas tylko rozstawiono: na wczoraj-
szym stanowisku doktora S., tam gdzie był wyszedł sam-
bur **), stanął Stefan ***), od czasu obozowego życia pierw-
szy raz biorąc udział w polowaniu, dotąd bowiem, gdy się
obóz przesuwał, razem z nim zostawał; obok niego, na
najlepszym niby miejscu mnie postawiono, dalej Gran-
ta ****) i doktora.

W polowie miotu padł strzał ze stanowiska Stefana,
potym szybko za nim drugi, po chwilec trzeci.

— Zabił, trzecim dobija — pomyślałem sobie, — nie
śmiałem jednak złączyć, gdyż reguła tygrysięgo polowania
jest: tak długo po strzale na drzewie wyczekać, dopóki
albo strzelający nie da sygnału, że zwierza na miejscu
położył, albo prowadzący polowanie pierwszy ze stanowi-
wiska nie zejdzie. Postanowienie to bardzo jest racjonal-
ne, gdyż może się zdarzyć, że tygrys postrzelony lub chy-
biony obłoży *****) i w innym miejscu wytknie. Tymczasem
Stefan nie dawał świstawką sygnału, że zabił, Grant, jak
posąg, dalej stał na drzewie — należało czekać. Naganka
w mig po strzale umilkła, na drzewa się schroniwszy. Po-
nura cisza zaległa; nic, prócz sępów, nad padłem krą-
żących.

Przeszedł kwadrans, który wiekiem mi się wydał.
Palila mię ciekawość dowiedzenia się, co się stało, nie mo-

*) Miot — przestrzeń lasu, obstawiona sieciami, w której się znaj-
duje zwierzyzna, spędzona przed łowami; ogół stanowisk myśliwskich.

***) Jeleń.

****) Strzelec.

*****) Rotmistrz, dobry myśliwy, znający miejscowość i ludzi.

*****) Obłożyć o zwierzu, kiedy ruszony z miejsca, krąży dokoła i
nazad powraca w to miejsce, skąd go wypłoszono.

głem zaś dojrzeć stanowiska Stefana, drzewami zakrytego. Jeszcze kwadrans minął. Wreszcie Grant ruszył się do złażenia. Nie czekając na niego, podbiegłem do Stefana, by się nareszcie o wszystkim wywieść. Okazuje się, że ogromny tygrys wyszedł na niego stokiem pagórka na kroków 40 i stanął przed nim na poleć*), ponieważ szedł miotem równoległe z linią strzelców. Stefan nie strzelił, myśląc, że tygrys może ku mnie się zwrócić; po chwili tygrys obłożył i drugi raz wyszedł na niego, tym razem na sztych**) w małej kotlinie naprzeciw jego stanowiska. Przypuścił go na 25 kroków i gdy tygrys, skręciwszy się nieco, łopatkę mu pokazał, strzelił do niego z ekspresa pierwszy raz. Tygrys zwrócił się na miejscu i, chrapliwie mrużąc, postrzelony widocznie, powoli darł się pod pagórek; wtedy strzelił drugi raz; tygrys, wylazszy na szczyt wzgórzka, przystanął, i Stefan miał czas na nowo nabić i trzecią kulę mu posłać, poczym zwierznik w gąszczu. Cały epizod nie potrzebuje komentarza: ten strzela do grubego zwierza, kto ma szczęście, nie ten, którego na najlepszych miejscach stawiają; dosyć jednak, że tygrys był postrzelony i zapewne ciężko ranny, gdyż nie byłby tak wolno drapał się pod górkę i przystawał.

Przybiegł Mahmud Khan z trzema innymi żołnierzami, i poczęły się narady, co robić wypada. Mahmud i żołnierze obstawali koniecznie, by posłać do Goony***) po słońca i czekać do jutra, my z Grantem nalegamy, by, bądź-cobądź, piechotą iść za śladem. Na tym drugim stanęło

*) Bok zwierza, ptaka. (Poleć oznacza właściwie połowę słońca z wieprza).

**) Wprost na strzelca, głową do strzelca.

***) Goona—to nędzna wioska z nieliczną krajową ludnością; właściwe miasteczko, o ile je tak nazwać można, to wojskowa osada, tak zwana po angielsku «cantonment». Najpiękniejszy budynek w całej Goonie, quasi rezydencja panującego, to willa naszego gospodarza — półkownika Gerarda, komendanta jednego z najpiękniejszych pułków armji angielskiej.

i, pierwsza rzecz, naturalnie, zaczęliśmy od dokładnego obejrzenia miejsca strzału. Farbę*) odrazu znaleźliśmy po pierwszej kuli; instykt mi mówi, że tylko pierwsza kula w nim siedzi, następne zaś strzały chybione. Ustawiliśmy się rzędem: Grant, Stefan, ja i czterech żołnierzy; Mahmud prowadził. Żołnierze co parę kroków wylażą na drzewa, czy się nie uda ujrzeć leżącego zwierza. Farby dosyć, ślad wciąż prowadzi pod górę stokiem pagórka; niebawem znaleźliśmy się u szczytu tegoż. Przed nami stroma obcięta ściana granitu i w dole skalisty wertep, gąszczem zarośnięty. Widzimy po farbie, że tygrys przyszedł do skalistej ściany, za wysoko mu się jednak do skoku na dół musiało wydawać, gdyż widocznie przystanął, w dół popatrzał i na prawo wzdłuż ściany się zwrócił. Ściana się nieznacznie zniżala; w jednym miejscu kilka głazów, jak stopnie schodów, w dół prowadziło; tu się wertep zwięźał, tworząc załom w skalistej ścianie. To miejsce wybrał tygrys, by się na dół spuścić, widoczne bowiem były krople farby na kamiennych stopniach. Mahmud tu przystanął i, położywszy się na brzuchu, starał się zajrzeć pod siebie, pod załom ściany. Niecierpliwiło mnie to, i, nie zważając na niego, chciałem za farbą w dół złązić. Jedną nogą byłem już na pierwszym stopniu, w dół prowadzącym, gdy raptem uczułem, że mnie ktoś z tyłu silnym ruchem za pasek uchwycił i całą siłą w tył, w górę szarpnął. W tejże chwili rozległ się piekielny, ochryply, demoniczny ryk, i straszliwa bestja o krok przede mną z załomu ściany, jak piorun, wyskoczyła w miejsce, dokąd właśnie chciałem schodzić; lecz w tejże chwili napowrót w tył się zwróciwszy, zniknęła nam z oczu pomiędzy skałami w ciemnym i wązkim wertepie.

*) Wyrażenie myśliwskie—krew zwierząt.

Cały epizod trwał mniej, niż sekundę, i o strzale mowy być nie mogło; popatrzyliśmy tylko po sobie; jeden żołnierz, nie wiem dlaczego, leżał na ziemi, Grant był blady, jak trup, ja sam nie wiedziałem w pierwszej chwili, co się stało i kto mnie tak *a tempo* w górę szarpnął.

Pokazało się, że Mahmud, zaglądając pod załom ściany, spostrzegł wyglądający z pod skały łeb przyczajonego tygrysa, zerwał się, jak mógł najspieszniej, i przytomnym uchwyceniem za pasek w tył mię porwał. Gdyby nie on, byłbym się zapewne znalazł w zębach tygrysa, który załegł w wydrążeniu skały, i, słysząc nadchodzących ludzi, przyczaił się do skoku.

Każda farba w miejscu, gdzie leżał, dodała nam otuchy i pewności, że daleko chyba nie pójdzie.

Tymczasem nowe dyskusje i wątpliwości, co dalej robić. Nie było to bezpiecznym iść za nim w dół wertepu, obłożyliśmy zatem kołem i wyszliśmy w miejscu, gdzie wąwóz się kończył, a zaczynała równina, ogromną na półtora łokcia wysoką trawą zarosła i rzadko drzewami pokryta. Po chwili natrafiliśmy na smugę świeżutkiej farby, tygrys nie został przeto w wertepie, tylko jest przed nami. Dalej iść za śladem farby w wysokiej trawie, gdzie na krok literalnie nie się przed sobą nie widzi, było, gdy teraz o tym pomyślę, prostym szaleństwem; lecz wówczas się o tym nie myślało i, linją się znowu ustawiwszy, z palcem na cynglu, jak na kuropatwy na porywanego w owsie, posuwaliśmy się naprzód.

Nawiasem tu wspomnę, że niema na świecie większej emocji w polowaniu, jak piechotą iść za takim postrzałkiem*), jak tygrys; chęć ujrzenia zwierza łączy się z uczuciem śmiertelnego niebezpieczeństwa. Za najmniejszym szelestem krew w żyłach się ścina; niema nerwów, choćby

*) Postrzałek, zwierz postrzelony przez myśliwego,

nie wiem jak zahartowanych, któreby w podobnej chwili potężnemu wzruszeniu były w stanie się oprzeć. O ile bowiem polowanie na tygrysa, jeżeli się zachowa przepisane środki ostrożności, nie jest wcale niebezpiecznym, o tyle, w razie zaniedbania powyższych środków, na dziesięć wypadków ośm tragicznie się kończy. Kardynalną zasadą jest: «nie stać na ziemi, gdy tygrys w miocie, i piechotą nie iść za postrzałkiem». Naturalnie — *nulla regula sine exceptione* *); są wyjątki w jednym i drugim kierunku. Zdarzyć się może, i nie dalej jak w roku bieżącym się zdarzyło, że tygrys strzelony, z drzewa ściągnął myśliwego i na miejscu go na śmierć zagryzł; z drugiej zaś strony nie każdy tygrys bezwarunkowo rzucać się musi, gdy się piechotą za nim idzie; lecz w zasadzie, tego ostatniego się robić nie powinno, i żaden Anglik, kierujący na serjo polowaniem, nikomu z uczestników tego zrobić nie pozwoli. Dlatego też słoń **) jest koniecznym warunkiem do tygrysięgo polowania, i dla bezpieczeństwa, i po prostu dlatego, że się z jego grzbietu dalej widzi i łatwo strzelić można, co piechotą w trawie, gąszczu lub skałach jest niemal niepodobnym.

W polowaniu piechotą nie pomoże ani pewna ręka, ani zimna krew; w zgarbionej postawie, zasłaniając oczy od koleczastych krzaków, jest się w gąszczu lub trawie niemal bezbronnym i na krok się przed sobą nie widzi, podczas gdy przyczajony tygrys słyszy zbliżającego się człowieka, i nim tenże do strzału się złoży, już na nim siedzi, a człowiek ginie w jego łapie, jak mysz w kocich pazurkach. Na słoniu inna sprawa: po pierwsze, słoń, opatrzonej przez naturę znakomitą węchem, zwietrzy tygrysa o 10 kroków i myśliwemu trąbą go wskaże; po drugie,

*) Niema reguły bez wyjątku.

**) Oswojony.

Takie obiektywne uchwycenie rzeczy, jaką ona jest sama w sobie, bez względu na nas samych, nazywamy *prawdą*; wszelkie zaś pomieszanie tej czystej obiektywnej treści z treścią osobistą, subiektywną, jako sprzeczne z poznaniem rzeczy samej w sobie, nazywamy *falszem*, przeciwstawiając go prawdzie. Myślenie rozróżnia zatem prawdę od fałszu, zmierzając wskutek pewnej przyrodzonej, logicznej prawidłowości, ku pierwszej, a odpychając ostatni.

W życiu praktycznym taka czynność oderwanego myślenia objawia się przez tak nazwany *zdrowy rozsądek*, który właśnie polega na jasnym rozróżnieniu danej obiektywnej rzeczywistości od wszelkich osobistych złudzeń i marzeń, będących wynikami nierozsądku.

W rozwoju ludzkości myślenie objawia się jako *umiejętność* i *nauka*, które nazwać można zdrowym rozsądkiem narodów i ludzkości.

Filozofja, jako złota nić rozwoju umiejętności, jest najwyższym objawem czystego, oderwanego działania myśli w ludzkości. Człowieka, obdarzonego władzą rozwinięcia przyrodzonego zdrowego rozsądku do umiejętnej wysokości, do samodzielności i jasności myślenia, nazywamy człowiekiem *inteligientnym*.

Inteligencja umysłowa jest wynikiem wysokiego i samodzielnego rozwoju przyrodzonej władzy myślenia. Oświata zarówno indywidualna, jak i narodów, oparta na samej nauce i umiejętności, jest oświatą *intelektualną*.

Uczucie przedstawia nam zupełnie różne psychiczne objawy, aniżeli myślenie. Jeżeli myślenie w swej istocie jest oderwanym, obiektywnym, to uczucie, przeciwnie, jest jak najkonkretniejszym i subiektywnym. W uczuciu nie poznajemy bynajmniej rzeczy samej w sobie, lecz chwytamy tylko wewnętrzne wrażenie, wywołane przez te rzeczy; a zatem w uczuciu poznajemy bardziej nas samych, aniżeli rzeczy zewnętrzne. Rzecz sama w sobie nie jest

przyjemną, ani nieprzyjemną; ale dopiero gdy na nas oddziaływa, staje się *dla nas* subiektywnie przyjemną lub nieprzyjemną, zależnie od tego, czy odpowiada naszym subiektywnym, osobistym wymaganiom, lub nie. Dla uczucia samego w sobie prawda lub fałsz jest rzeczą zupełnie obojętną; pogrążone w subiektywności, pyta się tylko o to, czy rzecz zewnętrzna z osobistymi wymaganiami się zgadza, lub nie.

Często treść jak najprawdziwsza nie zaspokaja uczucia, sprzeciwiając się osobistym wymaganiom; są to tak nazwane smutne prawdy, o których zwykle dla naszego uczucia myśleć nie chcemy; gdy tymczasem często treść jak najfałszywsza, lub przynajmniej nieprawdziwa, to jest: złudzenie, zadowalnia nasze uczucie, wywierając na nie wrażenie przyjemne. Rozróżnianie więc prawdy i fałszu, wynikające z prawidłowej czynności myślenia, nie odpowiada bynajmniej przyrodzonemu działaniu uczucia. Prawda i fałsz mogą się krzyżować z uczuciem; a zatem uczucie, rozróżniając rzeczy, opiera się na innych zasadach, niż myślenie, to jest, sądy uczuciowe są wynikiem różnej od myślenia prawidłowości.

Zasadą, wskutek której uczucie chwytą i rozróżnia rzeczy zewnętrzne, nie jest obiektywność, jak w myśleniu, lecz, przeciwnie, *subiektywność*. Harmonja obiektywności z subiektywnością jest najwyższą dążnością uczucia. Jako subiektywne, uczucie nie może ścierpieć, aby świat zewnętrzny był sprzeczny z jego osobistymi wymaganiami, a zatem przeistacza ten świat według swych osobistych wymagań, bez względu na to, czy takie podmiotowe przeistoczenie rzeczywiście odpowiada prawdzie, lub nie.

Objaw takiego przeistoczenia rzeczywiście według subiektywnych wymagań uczucia nazywamy *pięknym*, odróżniającym się od prawdy właśnie tym, że ta jest obiektywną, gdy tymczasem piękno jest subiektywnym. Wszelka rzeczywistość, sprzeczna z przyrodzonymi wymaganiami

mi uczucia, jest dysharmonją, nazwaną ze stanowiska subiektywnego dla różnicy od piękna—*szpetnym*.

Jak organiczną podstawą prawidłowego myślenia indywiduum jest zdrowy rozsądek, tak organem psychicznym uczucia, rozróżniającym piękno od szpetnego jest tak nazwany *czysty smak*. Zdrowy rozsądek i czysty smak bardzo często się różnić mogą, będąc organami zupełnie różnych funkcji psychicznych. Wyniki zdrowego rozsądku nader często obrażają czysty smak; są prawdy bardzo rozsądne i potrzebne, które jednak nigdy nie doczekają się aprobacji czystego smaku, — prawdy, o których mówić, a często i pomyśleć nie można bez wywołania organicznej reakcji czystego smaku. Tylko ludzie, u których organ psychiczny czystego smaku dla jakiegokolwiek przyczyn zupełnie zniszczonym został, potrafią o wszystkim mówić i rozprawiać. U nich organ czystego smaku nie posiada należytej organicznej siły, aby, przed wyjawieniem treści prawdy przez mowę, takową należycie przeistoczyć mogli według wymagań smaku, i dlatego wydają z siebie bez wszelkiej różnicy czystą i nieczystą treść prawdy; gdy tymczasem prawidłowa psychiczna organizacja wymaga, by wszelka treść, wychodząca z psychicznego organizmu nazewnątrz, zgadzała się z prawami czystego smaku.

W rozwoju całej ludzkości, uczucie, przeistaczające rzeczywistość według podmiotowych, subiektywnych wymagań, urzeczywistnia własną swoją treść przez *sztukę*. Umiejętność jest zdrowym rozsądkiem, *sztuka* — czystym smakiem ludzkości. W ideale sztuki ludzkość, bez względu na rzeczywistość, odtwarza sobie obraz doskonałości, przedstawiający rzeczy takimi, jakimi według osobistych wymagań człowieka, według wymagań czystego smaku być powinny.

Jak filozofja w zakresie umiejętności, tak *poezja* w zakresie sztuki jest najwyższym objawem uczucia w ludz-

kości. Człowieka, obdarzonego od natury czystym smakiem, idealizującym rzeczywistość, nazywamy *estetycznym* *). Człowiek estetyczny staje się *artystycznym* *), gdy mu towarzyszy władza urzeczywistnienia w sztuce swego uczucia według zasad czystego smaku. Oświata nakoniec, opierająca się na wykształceniu czystego smaku i na rozwoju sztuki, jest oświatą *estetyczną*.

Trzecią i ostatnią władzą psychicznego organizmu jest nakoniec *wola*. Wola jest psychiczną zasadą samodzielnego działania całego organizmu. Jako taka władza, poruszająca według własnej celowości całym organizmem, wola łączy w sobie dwie poprzednie władze w jedną i staje się przez to objawem *całej* psychicznej treści działającego subjektu.

Takie psychologiczne określenie woli znajduje swoje potwierdzenie na każdym kroku życia praktycznego.

W życiu oceniamy prawdziwą i istotną wartość człowieka wyłącznie według jego woli, dlatego że w niej się koncentrują wszystkie inne władze i dążności duszy. Ani samo myślenie, ani samo uczucie nie dają nam jeszcze żadnej rękąmi istotnej wartości człowieka. Może kto być człowiekiem jak najinteligientniejszym, posiadać jak najwyższą władzę myślenia i mieć bogaty zasób jasnych wyobrażeń i pojęć, wogóle prawdy, — a jednakowoż być człowiekiem bez istotnej wartości, człowiekiem, godnym pogardy nawet ze strony idjoty, a mianowicie w takim razie, gdy człowiek władzy myślenia, bogatego i żywego umysłu używa na złe, ku urzeczywistnieniu celów nikczemnych. Historja zbrodni i zbrodniarzy przedstawia nam często w najnikczemniejszych planach zbrodniarzy nadzwyczajną władzę kombinacji, obudzającą przez wewnętrzną jasność i konsekwentność uwagę każdego logika. Pomimo to, cały

*) Może lepiej byłoby użyć tu rzeczowników *esteta* i *artysta*.

ten umysłowy zasób obrócony został na niekorzyść ludzkości, gdy nim pokierowała zła wola; a nikomuby na myśl nie przyszło wynieść takiego zbrodniarza dla jego inteligencji nad człowieka cnotliwego, nie posiadającego takich wysokich władz umysłowych.

To samo się ma i z władzą uczucia. Najgłębsze uczucie łączyć się może ze złą wolą, wskutek czego traci na swej istotnej wartości, którąby miało, gdyby mu towarzyszyła dobra wola. Fanatyzm np. jest takim objawem głębokiego uczucia, połączonego ze złą wolą. Fanatyk posiada głębokie uczucie, bo zdolny jest do najwyższego poświęcenia; ale pomimo to jest człowiekiem złej woli, bo nie szanuje uczucia drugich, lecz własne osobiste uczucie wszelkimi środkami narzuca innym.

Tylko według *woli* oceniamy więc wartość człowieka. Gdy ta jest *dobrą*, mamy wzgląd na brak wszystkich innych władz; gdy zaś jest *złą*, to nawet najwyższy rozwój innych władz nie może ochronić człowieka przed potępieniem...

Organiczną, a wskutek tego i prawodawczą zasadą woli jest organ psychiczny, nazwany *dobrym sumieniem*. Dobre sumienie tym jest w zakresie woli, czym zdrowy rozsądek i czysty smak w zakresie myślenia i uczucia.

Henryk Struwe.

(O temperamentach. Psychologiczna wskazówka do poznania ludzi. Warszawa, 1864).

Sztuka i piękno.

Co jest *piękno*? W jaki sposób stanowi ono istotę sztuki, która mianem *pięknej* różni się od najwytworniejszych wyrobów przemysłu i zręczności rzemieślniczej?

Otóż, nie trudno zrozumieć, że różnica ta polega prze-

dewszystkim na *treści idealnej*, właściwej utworom piękną, a której niema w wyrobach rzemieślniczych.

Prawda, że i sztuka ma swoją stronę rzemieślniczą, swoją technikę, bez której nie mogłaby się stać widzialnym lub słyszalnym, wogóle zmysłowym wyrazem treści idealnej...

Czyż jednak sztuka *piękna* polega wyłącznie na tej stronie technicznej i rzemieślniczej? Czyż technika w zakresie artystycznym nie jest tylko *środkiem* dla wznioślejszych celów, niż wykazanie biegłości bądź w tworzeniu wierszy, wymawianiu słów i łączeniu dźwięków, bądź, w prowadzeniu pionu, dłuta i pędzla?

Nie! Twórczość artystyczna nie da się nigdy poniżyć do zręczności rzemieślniczej. Aspiracje prawdziwych artystów zawsze wyżej sięgać będą, bo artysta prawdziwy posiada w sobie, w swym duchu zasób treści idealnej, którą pragnie oddziaływać na społeczeństwo i przez to przyczynić się do sformułowania żyjących w niem*) ideałów. Tylko dzięki tak pojętej twórczości artystyczny jest produkcją intelektualną i stawia artystę obok poety, uczonego, myśliciela na czele ruchu umysłowego społeczności...

Rzeczywistość faktycznie nie zadowala większości ludzi. Co więcej, im żywszy i bogatszy umysł, tym energiczniej dąży do tego, co według jego poglądu być *powinno*.

Cała kultura ludzkości, cała wyższość człowieka nad pozostałą przyrodą polega na tym, że się rzeczywistości nie poddaje, że ją przeistacza według swej *idei!*

Czym jest historia, czym postęp, jeśli nie ciągłym przetwarzaniem rzeczywistości, realnych stosunków ludzkiego bytu według wyższych potrzeb człowieka, wyrażających się w jego *ideałach?*

*) Wyraz ten piszemy, zgodnie z autorem, podług pisowni Akademii, gdyż, używając nowszej pisowni, nie unikniemy dwuznacznika.

Życie ducha w różnicy od życia fizycznego objawia się przedewszystkiem w poczuciu swej władzy nad rzeczywistością i w chęci panowania nad nią i uczynienia posłuszną celom ducha. Gdzie tylko myśl, uczucie, wola dochodzą do świadomej siebie samodzielności, tam zaczyna się proces przerabiania, przekształcania rzeczywistości na modłę zupełnie nową, według *treści idealnej*, tkwiącej w tych objawach ducha.

Tylko człowiek bezmyślny, pozbawiony głębszego uczucia i szlachetniejszych porywów, żyjący życiem istot niższego rzędu, kontentuje się rzeczywistością, znajduje zupełne zadowolenie w zmysłowej przyjemności, wywoływanej przez bodźce zewnętrzne. Duch zaś ludzki, wzięty jako objaw samoistny, ów duch, który wynosi się ponad resztę istot ziemskich, który wytwarza dzieje, posiada historję, który czuje swój majestat boski,—ten duch nie korzy się niewolniczo przed rzeczywistością, lecz widzi w niej tylko *narzędzie* dla objawu swych twórczych dążeń, dla wyrażenia i realizacji swej treści wewnętrznej, swych ideałów!

W jakim tedy celu miałyby nam sztuka odtwarzać rzeczywistość, zawierającą w sobie dla każdego tyle objawów niemiłych, przykrych, często nawet wstrętnych? Co za przyjemność dla rozumnego człowieka paść się goryczą, lub nawet tarzać się w błocie? Jesteśmy w życiu niezadowoleni z rzeczywistości; cała ludzkość dąży do jej przekształcenia, a sztuka miałyby zdwajać naszą niedolę przez jej kopjowanie!!

O nie! Takie kopje ujemnej rzeczywistości mogą się tylko podobać ludziom zdzieczalym, nie mającym pojęcia o tym, czym jest człowiek, jakie aspiracje wypowiada w swej kulturze i w swych dziejach!

To też żaden prawdziwy artysta, poeta, odtwarzając ujemne strony życia, nie lubuje się w nich, nie współza-

wodniczy na tym polu ani z fotografją, ani ze statystyką, nie widzi zadania swego w kopjowaniu rzeczywistości.

W każdym prawdziwym artyście, najbardziej realistycznym, żyje *idea*, działają *ideały*. Jeśli nam przedstawia wstrętą rzeczywistość, to przy pomocy wrażenia wstrętu zmusza nas do potępienia tego, co nie odpowiada *idei*, co *nie powinno* być, chociaż, niestety, faktycznie istnieje...

*

*

*

Mianem *piękna* oznaczamy takie własności przedmiotów, które, oddziaływając na nas, wywołują w umyśle pewien rodzaj zadowolenia, rozkoszy, nazwany *zadowoleniem estetycznym* *)

Jakie są rysy charakterystyczne tego rodzaju zadowolenia w różnicy od innych form rozkoszy?—oto kwestja zasadnicza piękna, która wyjaśnia zarazem, jakie własności posiadać muszą przedmioty, więc i utwory sztuki, aby zasługiwały na miano *pięknych*.

Krańcowemi objawami zadowolenia dla człowieka są: z jednej strony *przyjemność zmysłowa*, polegająca na podnieceniu żywotnych funkcji bądź systemu nerwowego wogóle, bądź działalności szczegółowych zmysłów: wzroku, słuchu, dotyku, smaku, powonienienia; z drugiej zaś strony *zadowolenie duchowe*, nazwane zazwyczaj *moralnym*, a dotyczące wyższych funkcji umysłu: poznania prawdy, spełnienia obowiązku, podniesienia religijnego i t. p.

...Znamiennym rysem zadowolenia *estetycznego* jest harmonijne zespolenie i wzajemne przeniknienie zmysło-

*) Nazwa estetyki pochodzi od greckiego wyrazu *αἰσθητική*, co znaczy *wrażenie zmysłowe*. W dosłownym tedy znaczeniu estetyka jest nauką, mającą za przedmiot działanie zmysłów i ich wytwory bezpośrednio. Właściwym twórcą estetyki, jako nauki, jest Aleksander Bogumił Baumgarten, który w dziele «*Aesthetica*» (1750 r.) określa estetykę jako naukę o pięknie.

wej przyjemności i moralnego zadowolenia czyli podniesienia funkcji umysłowych, ducha. Z takiego połączenia krańcowych form zadowolenia wynika objaw umysłowy, w którym każdy ze składowych czynników zmienia się zasadniczo i, znajdując swoje uzupełnienie w czynniku dodatkowym, staje czymś zupełnie nowym, charakterystycznym, nie dającym się pomieszać z żadną z owych form pierwotnych.

I tak, zadowolenie estetyczne zawiera w sobie przede wszystkim czynnik przyjemności zmysłowej. Wywołwaną ona zostaje przez bodźce, działające bądź na wzrok, bądź na słuch, a uzupełniane zazwyczaj przez całe szeregi przebudzanych i wydobywających się z pamięci dawniejszych wrażeń wzrokowych, słuchowych i dotykowych.

Tym czynnikiem podniecenia zmysłowego różni się zadowolenie estetyczne od zadowolenia duchowego, pozostającego w sferze idealnej, nie podlegającej bezpośrednio działaniu zmysłów. Najwznioślejsze myśli i uczucia, najpożądańsze ideały nie budzą wrażeń *estetycznego*, jeśli nie przyjmują widzialnych lub słyszalnych form, jeżeli się nie łączą z wrażeniami zmysłowymi i z przyjemnością, spowodowaną przez te wrażenia.

Z drugiej jednak strony nie można zadowolenia estetycznego pomieszać z prostą przyjemnością zmysłową. Ta kontentuje się samym podnieceniem nerwów i oddaje mu się w zupełności, wyłącznie. Tymczasem w zadowoleniu estetycznym, oprócz zmysłów, bierze udział i umysł, duch. Zmysłowa przyjemność nie ma tutaj wartości sama przez się, lecz tylko o tyle, o ile jest wyrazem pewnej treści, oddziaływującej na umysł i wywołującej w nim zarazem zadowolenie wewnętrzne, duchowe.

Bez idealnego nastroju umysłu, uzupełniającego przyjemne wrażenia zmysłów; bez łączności tych wrażeń z pewnymi myślami lub uczuciami, przyspieszającymi tętno ży-

cia umysłowego, w różnicy od fizjologicznych funkcji organizmu niema prawdziwego zadowolenia estetycznego.

Wrażenia smaku i powonienia mogą być źródłem wielkiej przyjemności, ale pomimo to nie mają charakteru *estetycznego*, nie są *piękniemi*, bo nie mogą być wykładnikami myśli, uczuć i porywów ducha. Dla doktrynerów wprawdzie, zaprzeczających *treści idealnej* sztuki, i te niższe zmysły powinnyby się nadawać do wywołania wrażeń artystycznych. Jeżeli bowiem nie chodzi w sztuce o *idee*, natenczas trudno pojąć, dlaczego nie moglibyśmy znajdować zadowolenia estetycznego w utworach sztuki kulinarnej lub odorycznej. Oddanie się tym utworom zwolniłoby nas raz na zawsze od nienawistnych *idei!* Tymczasem za *zmysły estetyczne* uznane są powszechnie jedynie wzrok i słuch, a w zastępstwie pierwszego i dotyk.

Dlaczego? Bo tylko z wrażeniami tych zmysłów daje się połączyć treść idealna umysłu, tylko przy ich pomocy może być urzeczywistnioną ta harmonijna spójnia zmysłowej przyjemności i duchowego zadowolenia, która stanowi istotę upodobania estetycznego.

Nadając wrażeniom zmysłowym i wynikającej z nich przyjemności jedynie znaczenie środka, narzędzia, wyrazu dla uwydatnienia treści umysłowej, zadowolenie estetyczne odrywa nas od naszego jednostkowego bytu, jako istoty zmysłowej z całą przypadkowością jej stosunków życiowych, i przenosi w dziedzinę ogólnych dążeń ducha, tych dążeń, które charakteryzują człowieka jako istotę rozumną, stawiającą wymagania powszechne rozumu, jego treść idealną ponad pragnienia, zachcianki i nawet potrzeby jednostki.

Na tym rysie polega to, co Kant nazywa *bezinteresownością sądu* estetycznego, t. j. niezależnością tego sądu od wszelkich ubocznych tendencji, związanych z przypadkowemi potrzebami lub życzeniami jednostkowej indywi-

dualności. Dając odpowiedź na zapytanie: czy ten pałac jest piękny, czy budzi moje zadowolenie estetyczne? — nie myślę wcale o tym, czy jest moją lub obcą własnością, czy może mi się na co przydać lub nie, kto go wystawił i t. p. Czynniki tego rodzaju zmąciłyby czysty sąd estetyczny i nadawałyby mu charakter osobistej stronności. Tylko przedmiot sam przez się, bez wszelkich ubocznych, indywidualnych względów wchodzi w skład czystego, bezinteresownego sądu estetycznego.

Schopenhauer bardzo trafnie objaśnił ten rys bezinteresownego sądu estetycznego usunięciem *woli* z jego zakresu, wyzwoleniem się umysłu z pod jej tyraństwa przy oglądaniu piękna. Wtedy to napawamy się wspaniałym zachodem słońca niezależnie od tego, czy nań patrzymy z więzienia lub z pałacu.

Goethe wyraził tę bezinteresowność w pięknym dwuwierszu:

Gwiazd niebieskich nie żądamy,
Lecz cieszymy się ich blaskiem!

Zastanówmy się nieco bliżej nad tym wielce doniosłym rysem zadowolenia estetycznego; bez jego zrozumienia bowiem nie można mieć jasnego pojęcia ani o sztuce, ani o pięknie. Póki patrzę na przedmiot piękny ze stanowiska mych indywidualnych potrzeb, owych potrzeb, które domagają się zaspokojenia wśród danych zmysłowych warunków czasu i miejsca, póki z zakresu tej przypadkowej, ciasnej jednostkowości nie wzniosę się na stanowisko wyższe, ogólniejsze ducha, gdy myślę i czuję nie tylko za siebie, lecz i za wielu innych, za «miljony»; — dopóty nie doznaję prawdziwych rozkoszy estetycznych, ponieważ czynniki zmysłowe występują jeszcze do tego stopnia na plan pierwszy w mej świadomości, że nie mogą się stać wykładnikami wyższej, ogólniejszej treści umysłowej, lecz

przeciwnie osłabiają jej działanie na świadomość i ściągają ją w swój zakres instynktów niższych...

Nawet gdy patrzymy nie na dzieło sztuki, lecz na wytwory przyrody i jej zjawiska, ulegamy wrażeniom estetycznym tylko wtedy, gdy z temi objawami łączy się w naszej świadomości treść idealna, posiadająca pewną wartość nie dla naszego bytu, jako zmysłowej jednostki, lecz dla naszego ducha, dla naszego życia umysłowego.

Czym się różni pogląd poety na wschód i zachód słońca od poglądu gospodarza wiejskiego, wyprowadzającego z tych objawów przyrody wnioski co do swych zajęć rolniczych? Czy handlarz drzewa, przechadzając się po lesie i obliczając jego wartość dla swej kieszeni, doznaje wrażeń estetycznych? Czy wrażenia takie są dostępne dla wodza, obserwującego teren dla poruszeń wojska, nawet i wtedy, gdy ma przed sobą najcudniejszą okolicę?

We wszystkich tych wypadkach wraz ze zmysłami czynnym jest wprawdzie i umysł, ale czynność zmysłów do tego stopnia panuje tutaj nad działaniem umysłu i łączy go tak doraźnie z osobistemi interesami jednostki, jako istoty zmysłowej, że duch jej pozbawiony jest swobody, nie może się wznieść na stanowisko ogólniejsze, górujące nad daną przypadkowo sytuacją, aby z niej skorzystać dla swego życia wewnętrznego i jego ogólnoludzkich dążeń. Więc też w danych wypadkach najpiękniejsze objawy przyrody nie pobudzają ducha do zharmonizowania swych dążeń z doznawanemi wrażeniami i do zaspokojenia przy ich pomocy swych wyższych potrzeb. Przedmioty i objawy zewnętrznego bytu nie zespoliły się z żadną treścią idealną ducha, nie stały się jej wyrazami, — więc też o *zadowoleniu estetycznym* mowy być nie może.

Tak tedy pokazuje się jasno, że wrażenie estetyczne odbieramy jedynie od przedmiotów, które, budząc przyjem-

ność zmysłową, zadawałają zarazem i pewne potrzeby naszego ducha; które z nadobną formą zewnętrzną, podniecającą działalność wzroku i słuchu, jednoczą treść idealną, podnoszącą ducha. I takie właśnie przedmioty nazywamy *pięknymi*.

Piękno jest harmonijną spójnią czynników zmysłowych z umysłowemi, formy z treścią, rzeczywistości z ideą, materji z duchem.

..W ten sposób *piękno* przemawia jedocześnie do rozumu i zmysłów, do duszy i ciała i podnosi nasze poczucie życiowe jako jestestwa jednolitego, dążącego do wewnętrznej spójni swych składowych czynników, do ich harmonijnego zrównowżenia. To też zadowolenie estetyczne jest, jeśli nie najwyższym, ani najsilniejszym, to w każdym razie *najpełniejszym* rodzajem rozkoszy dla człowieka. Co do wzniosłości ustąpić musi pierwszeństwa czystym rozkoszom ducha; co do siły mierzyć się nie może z przyjemnościami zmysłowemi, ale za to wolne jest od jednostronnej wyłączności tych i tamtych i obejmuje w organicznym zespoleniu *całego* człowieka.

Rozkosze *ducha* mają w sobie coś anielskiego, jednoczą człowieka ze światem nadzmysłowym, z duchem powszechnym, z niebem. Rozkosze *zmysłowe* znowu wspólne są człowiekowi ze zwierzętami i czynią go zbyt łatwo w zupełności podobnym do nich. *Piękno* natomiast wywołuje rozkosze, mające typowy charakter człowieczeństwa, humanizmu, rozkosze, odpowiadające najzupełniej naturze człowieka, jako człowieka. Wynoszą go one ponad grubą zmysłowość, ale ochraniają zarazem od ascetycznej obojętności dla świata i wrażeń zmysłowych; pokrzepiają ducha, ale nie odrywają go od życia rzeczywistego; przeciwnie, skłaniają go do zharmonizowania potrzeb wewnętrznych ducha z zewnętrznym otoczeniem i stają się przez to jednym z najpotężniejszych czynników kultury i cywilizacji.

Prawda w nauce, *piękno* w sztuce, *dobro* w życiu—
oto warunki postępu, cywilizacji i szczęścia ludzkości.

Henryk Struwe.

(Sztuka i piękno. Studja estetyczne. Warszawa, 1892).

3. O charakterze.

1. Św. Jan Chrzciciel, będąc w więzieniu, gdy usłyszał o nauce i dziełach Pana Jezusa, wysłał dwu uczniów swoich z zapytaniem, czy On jest obiecany Mesjaszem. Wówczas to Chrystus Pan wypowiedział pochwałę Jana tak wspaniałą, jakiej niedoczekał się aż dotąd żaden z synów ludzkich. Pan Jezus nazywa Jana więcej niż prorokiem, chwali go za to, że nie był trzcina, chwiejącą się od wiatru, że w miękkich szatach się nie kochał.

Rozważając te pochwały, mogliśmy mówić albo o prorokach i prorocत्वach, albo o charakterze ludzkim; bo zapewne uważaliście, że i Pan Jezus chwali w św. Janie jego charakter, mianowicie: jego moc duszy, że się nie kołysał jako trzcina od wiatru; jego prostotę, że w miękkich, kosztownych szatach nie chodził i wykwintnych pokarmów nie używał; że prawdę miłował nad te wygodę życia i dla niej dany był do więzienia. Mówmy więc o charakterze.

2. Najpierw, uważajcie sobie, moi młodzi bracia, na pospolitą mowę starszych ludzi, jak to oni przy zdarzonej sposobności chwalą innych za to, że np. śmierci się nie lękali, prawdę mówili nieustraszenie, brzydzili się pochlebstwem, na małym poprzestawali; chwalą ich za to. Widocznie te zalety duszy nie muszą być zwyczajne, pospolite, muszą się rzadko zdarzać między ludźmi. Tymczasem więc zapamiętajcie, że ludzi chwalą za okazywanie charakteru i zaraz też przyjrzyjmy się, czym jest charakter?

Lubo niedawno życie, jednak nikt z was zapewne nie słyszał, ażeby tancerza, linoskoka, muzykanta i tym podobnych mistrzów nazywano ludźmi o tęgim, dzielnym, stalowym charakterze dla ich biegłości w tańcu, akrobatyce, muzyce, chociaż i między niemi mogą się znaleźć ludzie z charakterem; chwałą zaś ich za zręczność, uzdolnienie, biegłość w sztuce, ale nie za charakter. Wiemy tedy, że charakter jest czymś godnym uwielbienia, ale czym jest, tego nie wiemy.

Czym więc jest charakter? Jest to suma wszystkich tak wrodzonych usposobień, zdolności, jak i nabytych cnót, nawyknień *). Przejawia się on głównie w działaniu, w uczynkach. Ale ponieważ uczynki są owocem myślenia, uczuć i woli**), więc najpierw charakter przejawia się w myśleniu poprawnym, jasnym, zwięzłym, konsekwentnym; dalej, w uczuciach podniosłych, nie sobkowskich; w woli mocnej, stanowczej, jednolitej, zawsze ze sobą samą zgodnej (*idem semper velle ac nolle****).

Czy charakter można wyrabiać, doskonalić? Tak jest: a mianowicie starając się o to najprzód, by myśli nasze były prawdziwe, nie na bajkach i przywidzeniach oparte, rozumowania zasadne, ze sobą zgodne, czyli konsekwentne. Dalej, przez czuwanie nad uczuciami, ażeby były szlachetne i z prawem bożym zgodne i społecznym obyczajom nie przeciwne. Przez powściągnięcie namiętności, zachceń fantastycznych, przywidzeń i urojeń, słowem, przez ujęcie samego siebie w karby, przez cierpliwe znoszenie głodu i chłodu, choroby i niepowodzeń życiowych. Takim sposobem można hartować wolę i wyrabiać,

*) Inaczej: jest to suma cech duchowych danego człowieka.

**) Psychologia, t. j. nauka o duszy, rozróżnia trzy objawy duszy: rozum, uczucie i wolę.

***) Zawsze to samo chcieć i tego samego nie chcieć.

doskonalić charakter; innemi słowy: starać się o to, aby nie być trzcina lub chorągiewką na dachu.

Jan św. nie był trzcina; za prawdę poszedł do więzienia; w miękkich szatach nie chodził, to jest życiu miękkiemu, rozkosznemu nie hołdował. Rozumiał on, że takie życie osłabia wolę, czyni ludzi zbyt wrażliwemi na przykrości nieuniknione, a gdy się splamią złym uczynkiem, tłumaczą się nerwami. Dożyliśmy tego wieku, który nazywają nerwowym, i cierpieniami nerwów tłumaczą sobie ludzie rozliczne wykroczenia od praw ewangelji. Otóż, temu trudno przeczyć, że młodsze pokolenie jest zanadto nerwowe, czyli wrażliwe, że nie przywykło do głodu i chłodu, że przecenia dolegliwości życia, słowem, zostało zbyt miętko, źle wychowane. Oddalanie od dzieci wszelkich przykrości, na czym niedoświadczone matki opierają dobre wychowanie, wcale się nie przyczynia do wyrabiania charakterów. Owszem, niech dzieci wiedzą, że jest i głód, i chłód na świecie, że cierpienie jest nieodzowną częścią życia ludzkiego.

3. Słuchając pochwał dla ludzi z charakterem, nie jeden z was, osobliwie starszej młodzieży, mógłby zapragnąć nabycia czy zdobycia tak cennej zalety umysłu; słusznie więc jeszcze i o tym pomówmy.

Mogliście już zauważyć z tego, co wyżej mówiłem, że charakteru nie można sobie kupić, to jest nauczyć się go od innych za pieniądze lub darmo nabyć, jak się uczymy sztuk i umiejętności, lecz, że potrzeba go samoistnie w sobie wyrabiać, czyli kształcić samego siebie. Zwykle gdy mowa o kształceniu człowieka, i dzieci i rodzice ich tak to rozumieją, iż trzeba nająć, zgodzić nauczyciela lub nauczycielkę i powierzyć im dziecko na miesiące i lata, by je nauczyli pewnych wiadomości, pewnej sztuki. Ale o kształceniu samego siebie nietylko dzieci, lecz i wielu rodziców ani myśli, ani uważa tego za podobne do wyko-

niania. Bo i jakże ten, mówią, co sam nie umie, będzie samego siebie uczył? Tymczasem z tego, co wyżej powiedziano, koniecznie wynika, że charakter winien człowiek sam sobie zdobywać. A jeżeli zdobywać, to zapewne walczyć ze sobą, albowiem zdobyczy bez walki nie będzie. Jakoż, w kształceniu samego siebie niedość słuchać wykładu nauczyciela, zapisywać, uczyć się na pamięć: tu chodzi o co innego, nie tyle o teoretyczne wiadomości, ile o nagięcie woli pod prawo, co daleko trudniej przychodzi, człowiekowi niż spamietanie, dajmy na to, tabliczki mnożenia.

Od dzieciństwa starsi naginają naszą wolę za pomocą pochwały i nagany, kary i nagrody, słowem, za pomocą pobudek, a patrzcie, jak to powolnie idzie! Najtrudniej jest nagiąć wolę człowieka tak, aby posłuszną była prawu nawet wtenczas, gdy nie zostaje pod cudzym okiem. Gdy do tego dojdzie, że się bez przymusu i kontroli obejdzie, dopiero wtenczas może człowiek naprawdę rozpocząć kształcenie samego siebie, a więc wyrabianie swojego charakteru, to jest pokonywanie zniechęcenia, lenistwa, chwiejności, słowem tych braków umysłowych, które stanowią o braku charakteru. Że taka walka młodzieńca samego ze sobą nie jest przyjemna, to i rzecz wiadoma, i nie dziwna, bo takie łamanie w sobie lenistwa, takie okiełznywanie namiętności stanowi pracę, wysiłek, od których skoro uciekamy. Stąd w części zrozumiecie, dlaczego po wszystkie czasy tak mało było i jest ludzi z charakterami.

Jeszcze jedno chcę wam objaśnić: dlaczego, ucząc was, jak wyrabiać charakter, głównie się zastanawiam nad wyrobieniem woli. Byłoby wyrobienie rozumu i uczucia mniej ważne w tej sprawie? Niewątpliwie; suma wiadomości, które rozum bogacą, i suma uczuć, które człowieka, niby żagle, do czynu popychają, nie są do pogardzenia, ale nie one-to stanowią o charakterze

człowieka. Spotkacie w życiu ludzi i bardzo uczonych, i bardzo czułych, a jednak bez woli, bez charakteru; i znowuż spotkacie wcale nieuczonych prostaków i, jak mówią, twardych, nieużytych, a przecież z wolą mocną, niby żelazną, nie zrażających się niepowodzeniami całego życia. To są ludzie o tęgich charakterach; to są niby kolki w płocie społeczno-ludzkim; niby drogowskazy na rozstajnych drogach.

Teraz sędzę, że zrozumiecie, dlaczego ludzi z charakterem wielbimy, cenimy; dlaczego ich uważamy za wiązadła i spoidła lichej gromady ludzkiej, która jest, jako gromada piasku, ciągle wiatrem przesuwana. Piękne widowisko — dzielni ludzie, ale żeby takimi zostać, nie trzeba żałować trudu od lat młodzieńczych. Nie trzeba się chwiać, jako błotne trzciny, nie trzeba szukać miękkich szat, wykwintnych pokarmów, słowem wygod życia, i dla nich się w pałak zginać; ale trzeba przede wszystkim giąć i łamać własną wolę pod prawa boże; znosić przykrości życia mężnie, śmierci patrzeć w oczy odważnie i pamiętać, że póki żyjemy, pogoda i słońce, choroba i zdrowie, obfitość i niedostatek nawiedzać nas będą na przemiany, a my, jako Jan św., nie mamy się chwiać, jako kruche trzciny, lecz Bogu z rezygnacją ofiarować i słońce i chmury*). Amen.

Ks. Franciszek Krupiński.

(Kazania, czyli nauki do uczniów, głoszone w kościele św. Aleksandra w Warszawie. Wydał X. W. B. Warszawa, 1899).

4. Początki komedji polskiej.

Komedja polska, jak wogóle dramat, nie rozwinęła się, jak inne rodzaje utworów poetyckich, na gruncie wzorów klasycznych. W XVI wieku istnieją nieliczne tylko ślady oddziaływania komedji klasycznej..

*) t. j. szczęście i nieszczęście, dołę i niedołę.

Początków komedji w Polsce należy szukać gdzieindziej. Nie popierana przez panujących, którzy w najlepszym razie woleli opery włoskie od polskich dramatów (dworska trupa operowa za Władysława IV), nie lubiona przez szlachtę, która, po wsiach mieszkając, nie zdążyła zasmakować w podobnych widowiskach, komedja zeszała na rynek, między lud, nabierając coraz więcej cech literatury jarmarcznej, kiermaszowej, sowizdrzalskiej. Z tego też względu są te utwory niezmiernie ciekawe, jako płody samorodnej, nieuczonej twórczości i niewybrednego humoru.

Początek komedji polskiej tkwi w t. zw. *intermedjach*, czyli *interludjach*. Były to sceny śmieszne, wesołe, urozmaicające treść poważnych misterjów i djalogów religijnych. Sam tekst Pisma Świętego dawał nieraz pochop do wybryków humoru i ironji prostaczej. Ile razy bowiem ukazywał się na scenie, np. Judasz lub Żydzi, rabinowie, żołnierze rzymscy, djabli, — tylokrotnie występował jednocześnie żywioł komiczny: ośmieszani, wydrwiani, okpiwani, schodzili oni ze sceny, jak niepyszni. W najlepszym np. z dochowanych djalogów, w «Historji o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim» ks. Mikołaja z Wilkowiecka, pełna humoru jest rozmowa Chrystusa z Lucyperem i djablami w piekle, skąd Jezus wyprowadza patryjarchów Starego Zakonu. Komiczny też charakter miały wszystkie te sceny w djalogach, gdzie występowały postacie ludowe. O takich intermedjach dotrwały bardzo już wczesne wiadomości. Tak więc w utworze Jana Lochera «*Judicium Paridis*», przerobionym na polski p.t. «Sąd Parysa, królewicza trojańskiego» (Kraków, 1542), w jednym z intermedjów występują trzy baby: baba piszczkawa (żona grajka), Czuczyna i Gordanka, śpiewając i tańcząc z pasterzami.

W dIALOGACH o Narodzeniu Pańskim ukazują się pastarze o śmiesznych imionach: Chleburad, Stoiwąg, Sieczypiwo, Ryczywół, Paliwoda, Maścibrzuch, Nierobot, Drzemała, prowadząc rozmowy śmieszne i śpiewając piosenki, zbliżone bardzo do dzisiejszych śpiewek ludowych.

Takie komiczne połączenie tematu biblijnego ze scenami ze współczesnego życia ludu było wówczas ulubioną formą sceniczną; tak np. w jednym z dIALOGÓW wielkotygodniowych biblijny Szymon Cyrenejczyk przedstawiony jest jako chłop, wiozący kaczora i rybki na targ ze wsi Czernichowa do miasta Sławkowa.

W t. zw. sztukach moralnych, czyli *moralitetach*, mniej jest żywiołu komicznego, jak o tym świadczy najznakomitszy z tego rodzaju utworów dramatycznych, «Komedia Justyna i Konstancji» (1557) Marcina Bielskiego. Rzadko też zdarzają się epizody komiczne w dIALOGACH polemicznych, które wszakże nie były pisane dla sceny, lecz w celach propagandy religijnej. Wyjątek pod tym względem stanowią Wita Korczewskiego «Rozmowy polskie, łacińskim językiem przeplatane» (1553), odznaczające się większym ruchem scenicznym; występują tu typowe postacie: studenta, co niedawno powrócił z Lipska i szydzi z obrządków i dogmatów kościoła katolickiego; klechy, gorliwie wybierającego dziesięcinę; baby czarownicy, wyklętej przez plebana — ostrze satyry zwraca się tu przeciw protestantom.

Podobny charakter ma dIALOG p. t. «Komedia o mięsopuście» z drugiej połowy XVI w., której treścią jest dysputa religijna Plebana z Hanusem, ewangelikiem i studentem z Wittenbergi, słuchaczem Melanchtona, Kalwina i Korwina; humor tu rubaszny i nieprzystojny. Niemało żywiołu komicznego posiadają niektóre dIALOGI o świętych i postaciach z Pisma św., np. najbardziej znany z nich «Żywot Józefa z pokolenia żydowskiego» Mikołaja Reja z Na-

głowic (1545); występują tu wyborne postacie Magona, hausknechta Putyfarowego i panny służebnej Achizy. Inne dialogi Reja: «Krótka rozprawa», «Kupiec», «Warwas z Dikasem», «Kot z Lwem», zalet sceniczności nie posiadają.

Liczne intermedja, w które obfitują druki i rękopisy naszych utworów dramatycznych XVI, a zwłaszcza XVII stulecia, dadzą się sprowadzić do kilku typów i kilku sytuacji zasadniczych. Jedną z takich stałych postaci jest np. lekarz wędrowny, szalbierz, wyzyskujący niemilosiernie swoich pacjentów. Często też występują tu zręczni i układni służący, np. we fragmencie «Pochlebiarski i Cziwiarski», którzy pochlebstwem i uniżonością torują sobie karierę. Innych znów służących, złośliwych i dokuczliwych, wyprawiających swoim panom różne nieprzyzwojne figle, można studjować w intermedjum p. t. «Fiś, Cnotka i Wyszumiany» (Kraków, 1655). Często też powtarza się w intermedjach XVII w. scena pomiędzy włóczęgą leśnym, Skoczylasem, a Żydem w lesie: Skoczylas sprzedaje Żydowi kij, a kiedy ten nie chce kupić, zabiera mu mieszek z pieniędzmi, mówiąc: «I kij mój i mich mój»; czasem zamiast Skoczylasa występuje tu Rusin... Nieraz występują w intermedjach pyszne figury dworzan darmozjadów, śmiesznie przezywanych: Kufłowski, Kurołapski, Szumiłębski, Moczygębski, Nicwarski, Przyjemdurski i inni.

Odrębną gałąź komedji stanowią t. zw. sztuki *bachiczne*, t. j. zapustne, grywane w ostatnie dni zapust po dworach szlacheckich. Do takich należy np. «Mięso-pust, albo tragicomoedia na dnię mięso-pustne» (1622). Ukazują się tam wyborne postacie opilców, jak Kostyra, Łapikufel; występuje też Bachus z całą świtą satyrów i sylenów, a wszyscy piją aż do upadłego, śpiewają, wrzeszczą, ryczą z uciechy... Inne sztuki bachiczne, jak: «Gryzidzban»

«Sarkała», «Łapikufel»... podobny mają charakter: wesoły, zabawny, hulaszczy...

Wykonywaniem podobnych sztuk trudnili się wędrowni artyści niższego rzędu, rodzaj błaznów i kuglarzy, którzy nosili miano igrców, wesolków, żonglerów, szpilmaków, mimików, frantów; karykaturalne wykrzywianie twarzy, ruchy nieprzystojne, zwłaszcza w rolach pijaków i inne grube efekty sceniczne ich grze towarzyszyły. Prawdopodobnie ciż frantowie wykonywali role komiczne w misterjach; niektórzy z nich sami układali sztuki, jak np. słynny w swoim czasie Kaszota Jan Dzwonowski, tytułujący się generałem pilzeńskim (XVI wiek).

Wyższy rodzaj wędrownych aktorów byli to t. zw. *rybałci* (włoskie:=*ribaldo* trefniś, łotr, włóczęga). Rekrutowali się oni z żaków ubogich, wykolejonych klechów, kantorów, bakałarzy i innej służby kościelnej, słowem, ludzi cokolwiek już wykształconych, obeznanych nieco z łaciną, obrządkiem kościelnym i literaturą religijną, dzięki czemu mogli układać i wykonywać widowiska sceniczne. Są pewne dane, pozwalające przypuszczać, że rybałci łączyli się w kompanje, wędrujące po miastach i wsiach. Od nich cały dział utworów dramatycznych XVII w. otrzymał miano *komedji rybałtowskiej*. Niezmiernie ciekawy ten odłam naszej literatury ludowej rozwinął się z intermedjów komicznych w djalogach. Ponieważ zaś typy i sytuacje do tych utworów brano z życia otaczającego, jest więc komedja rybałtowska, jak i intermedja, najbardziej może rodzimym odłamek naszego piśmiennictwa XVII stulecia. A przytym należy zauważyć, że występowały tu przeważnie osoby z niższych warstw społeczeństwa, które w literaturze książkowej ukazywały się tylko epizodycznie.

Typowa pod tym względem jest np. taka «Tragiedja żebracza» (1552); jest to cała kopalnia niezmiernie ży-

wych i charakterystycznych typów żebractwa ówczesnego: Szczudło, Parzychort, Dygudej, Tobała, Gołba, Wyrywant, Pędziwiatr, jednooki Zyżka; kobiety: Magora, Sambora, Mitjana. Akcja odbywa się w karczmie w Potoku Złotym, pod Częstochową; przedstawiono tu wesele dziadowskie i basarunek, który sprawiły dziady pewnemu kupcowi, co ośmielił się krytykować ich życie i groził oddaniem któregoś z nich w ręce kata. Nadaremnie kupiec skarży się na zuchwalstwo dziadów; otrzymuje w zysku tylko radę pisarza, żeby nie zaczepiał dziadów, bo to zaszczytu nie przynosi, a lepiej się wystrzegać włóczęgów.

Żywot obieżyświatów był snąc ulubionym przedmiotem komedji rybałtowskiej, bo temat ten powtarza się i w innych sztukach, jak np. «Peregrynacja dziadowska» (1614), pełna ciekawych nad wyraz rysów obyczajowych, tyjących się życia dziadów, ich przezwisk cudaczych, ich szalbierstw i zabobonów, pieśni dziadowskich, ich praktyk, «języka biblijnego» i t. p.

Dopełnia tego obrazu dialog p. t. «Peregrynacja Maćkowa z Chodawki, Kurpetowego syna», pisany gwara mazurską; daje on interesujące szczegóły, dotyczące np. odległych pielgrzymek naszego żebractwa ówczesnego (Moskwa, Wołoszczyzna, Włochy, Rzym i t. d.).

Typową postacią komedji rybałtowskiej jest klecha Albertus, nieodrodny syn Plautowego «Żołnierza-samochwala»: junak, ale tylko w języku, bohater we własnym opowiadaniu, tchórz ostatni w rzeczywistości. W komedji «Wyprawa plebańska» (1590), spowodowanej uchwałą sejmową tego roku, nakazującą pobór ogólny na wojnę turecką, pleban*) wysyła Albertusa na wojnę w nędznym uzbrojeniu i na lichej szkapie.

*) W Polsce służba wojskowa ciążyła na posiadaczach ziemi, którzy obowiązani byli stawać osobiście do pospolitego ruszenia. Księża (z prywatnych majątków), chorzy, kobiety i dzieci dawali zastępców. Szczególniej wyśmiewano zastępców księży.

Dalszy ciąg tego dIALOGU tworzy «Albertus z wojny» (1596), gdzie nasz bohater powraca z wyprawy i opowiada o swoich czynach, jak podczas bitwy w rowie leżał, a po drodze rabował, co się dało.

Albertus występuje w kilku jeszcze komedjach, jak np. w «Komedji rybałtowskiej» (1615), gdzie bohater przybiega z odsieczą magistrowi, tarמושonemu przez konfederatów; jak wreszcie w utworze p. t. «Komedja Albertus Rotmistrz», pełnym scen wysoce komicznych, jak to np.: kiedy Albertus wysyła podjazd do klasztoru Świętokrzyskiego, maluje beczkę i kufel na chorągwi i opowiada przygody swego życia. Ta ostatnia sztuka znajduje się w zbiorze p. t. «Bachanalja, czyli dIALOGI z intermedjami, w jedno opus zebrane r. 1640».

Obok niej mamy tam jeszcze dwie komedje: «Guślarze» — o pławieniu czarownic i zabobonach owoczesnych i «Pielgrzym i Pałnica» — o szalbierce, kupczącej fałszywymi świętościami.

Temat poruszony w «Wyprawie plebańskiej», podobał się powszechnie, był też niejednokrotnie podejmowany w przeróbkach, jak np. «Zwrocenie Matjasza z Podola», gdzie, zamiast plebana i Albertusa, występują minister protestancki i syn jego Matjasz, jak «Wyprawa ministra na wojnę» (1601), «Wyprawa żydowska» (1608); «Walna wyprawa ministrów do Wołoch» i inne..

Komedja rybałtowska w swoim rozwoju od typów i scen komicznych w misterjach doszła dość wysoko, wchłonęła w siebie wiele pierwiastków ludowych, gdyż autorami byli tu nie ludzie uczeni, humaniści z drugiej i trzeciej ręki, lecz prości, wędrowni rybałtowie, którzy sami dla siebie tworzyli repertuar tak poważnych dIALOGÓW, jak i rubasznych intermedjów. Dlatego też komedja, obok satyry, jest najbardziej rodzimą gałęzią literatury naszej owoczesnej, tymbardziej, iż wprowadzane są tu wy-

pakłe typy miejscowe z pośród ludu: żacy, rybakci, klesi, księża, żołnierze, chłopci, cygani, kozacy, włóczęgowie, żebracy, błażni, ciury obozowe, szalbierze, pijacy, pieczenia-rze i t. p. — oto cała galerja typów, pod względem obyczajowym nieocenionych. Z tych pierwocin mogła się była rozwinać komedja czysto swojska, gdyby nie została zgłuszona przez komedję francuską w XVII, a zwłaszcza w XVIII stuleciu, pozostając w formie szczątkowej w przedstawieniach szopkowych, a i te dzisiaj zanikają z dniem każdym.

Oczywiście komedje rybakłowskie nie celują formą literacką, ale znamionuje je dosadność i rubaszność języka i samej treści, co właśnie podobało się niewybrednej publiczności tych komedji.

H. G.

(Wielka Encyklopedia powszechna ilustrowana, tom 37/38. Warszawa, 1905).

5. Stanowisko Józefa Korzeniowskiego w dramacie i komedji.

Dopiero w «Pięknej kobiecie» pod wyraźnym wpływem Szekspira zerwał Korzeniowski ze wszystkimi krępującymi przepisami pseudo-klasycyzmu; miejsce zmienił po Szekspirowsku aż nazbyt często; czas trwania akcji rozciągnął na lat parę; zamiast wiersza użył prozy jędrnej, śmiałej, puszczając chwilowo cugle wyobraźni, która się nawet nieco rozswawoliła w rozmowie pomiędzy dworzanami i żołnierzami. Dramat ten napisał nasz autor w r. 1829.

Gdyby go był zaraz drukował, musielibyśmy przyznać Korzeniowskiemu tę samą zasługę wyzwolenia się z pęt klasycyzmu, jaką Francuzi przyznają Wiktorowi Hugo. Tak się jednak nie stało. «Piękna kobieta» wy-

szła z druku dopiero w r. 1839, a tymczasem na siedm lat przedtym ukazały się dwa dramaty Juljusza Słowackiego: «Mindowe» i «Marja Stuart», w których już śladu pęt owych nie spotykamy.

Jeżeli więc chodzi o określenie, kto w naszej literaturze dokonał reformy na rzecz swobodniejszego prowadzenia akcji i rozwijania charakterów; to musimy wymienić nazwisko Słowackiego, gdyż on, drukując swoje dramaty, w nowym duchu pisane, mógł oddziałać na dalszy pochód twórczości w tym kierunku. Korzeniowskiemu zaś jeno możemy zawarować prawo niezależności w dokonaniu tej reformy dla potrzeb własnego talentu twórczego.

* * *

W *komedji* naszej Korzeniowski nazwany być musi reformatorem: przemienił w niej bowiem typy, w jakie obfitowały sztuki Fredry, na charaktery indywidualne, jakie są cechą komedjopisarstwa nowszego.

Ponieważ pojęcie typu nie jest ustalone nawet wśród literatów, muszę więc przedewszystkim podać parę słów objaśnienia.

Typem w komedji nazywam taką postać, która skupia w sobie cechy całego gatunku. Np. «Skąpiec» Moliera jest jakby uosobieniem skąpstwa; dla uwydatnienia tej zasadniczej wady jego charakteru pominął autor mnóstwo drobnych, podrzędnych szczegółów, znamionujących każdą jednostkę i nadających tej jednostce właściwość, że nie jest do żadnej innej we wszystkim podobną. Takie właściwości autor typu rozmyślnie usuwa, ażeby całą uwagę widza skupić na cesze, którą chce uczynić jaknajwydatniejszą, jaknajjaskrawszą. Możliwoby tę jego czynność porównać do pewnego stopnia z czynnością zoologa, który z różnych osobników tworzy typową postać dajmy na to: kota domowego. O sierść, o kolor oczu i tym podo-

ne szczegóły nie chodzi mu wcale, gdyż te są w osobnikach odmienne, ale dba on jedynie o te cechy, które wszystkim osobnikom danej grupy są wspólne.

Podobnie twórca typu komicznego odrzuca właściwości, znamionujące skąpców poszczególnych: Piotra, Pawła i t. d., ale bierze z nich te cechy, jakie im są wspólne i stara się je odtworzyć jak najsilniej. I chociaż w życiu rzeczywistym zarówno się nie znajdzie «kota domowego» według opisu zoologa, jak i skąpca Molierowskiego,— to przecież owe cechy wspólne, w różnych jednostkach spotykane, sprawiają, że typów zoologicznych czy artystycznych nie poczytujemy bynajmniej za urojenie. Ze względu jednak na to, że nie są to jednostki realne, pozwalamy im w sztuce żyć trochę wedle pewnych zasad uznanych; nie badamy zbyt drobiazgowo, czy w zachowaniu się ich, w postępowaniu z ludźmi, w stosunkach codziennych utrzymano ściśle prawdopodobieństwo; idzie nam bowiem o to głównie, czy zasadnicza ich cecha dobrze i konsekwentnie została przez autora uwydatniona. Nie dziwi nas też bardzo, jeśli takie typowe postaci przemawiają wierszem.

W twórczości atoli artystycznej przejawiała się już od XVIII wieku dążność do odtwarzania życia w sposób coraz bardziej szczegółowy, dążność do przemiany typów na charaktery. Oczywiście nie można było myśleć o całkowitym i zupełnym zaniechaniu pewnych uogólnień, o portretowaniu realistycznym pewnych wybranych z pośród ogółu jednostek, gdyż samo pojęcie sztuki sprzeciwiałoby się takiemu trybowi tworzenia; ale chodziło o to, ażeby ludzie, przedstawiani w dziele sztuki, bardziej się zbliżali do osób rzeczywistych, aniżeli typy. Ponieważ zaś jednostki tym się właśnie charakteryzują, że obok jakiejś cechy zasadniczej, warunkującej główne przejawy życia tej jednostki, znajdują się jeszcze — i to w znacznej lic-

bie — cechy poboczne; więc dążono do tego, ażeby pewną część tych cech pobocznych uwydatnić w rysunku charakteru.

Pociągnąć to musiało za sobą cały szereg zmian w samym układzie komedji. A najpierw okazało się koniecznym wymaganie, ażeby każdy krok i każde słowo danej osoby było umotywowane, ażeby sytuacje nie dlatego następowały, że tak autorowi dogodniej się zdawało dla wywołania efektu komicznego, ale dlatego, że w naturalnym rozwoju akcji inaczej być nie mogło. Wszystkie wejścia i zejścia ze sceny musiały mieć powód zrozumiały dla widza. Monologi, mówienie na stronie, musiały być ograniczone do *minimum*, a surowsi nawet krytycy domagali się zupełnego ich usunięcia ze sceny. DIALOG musiał być charakterystyczny, to jest, każda osoba powinna była posiadać styl swój własny. Proza musiała wyprzeć wiersze.

Otóż Korzeniowski pierwszy u nas dokonał tej zmiany typów na charaktery. Przyszło mu to tym łatwiej, że zanim zabrał się do komedji, pisywał wprzód przez lat kilkanaście dramaty, gdzie indywidualizacja charakterów z dawien dawna obowiązywała. Wszystkim wymaganiom, jakie wraz z tą zmianą złączone były, nie mógł on uczynić zadość w całej pełni. Niektóre środki sceniczne, właściwe komedji typów i w niej tolerowane, np. przebieranie się osób za inne i nie poznawanie ich przez najbliższych, mówienie na stronie, niedostateczne motywowanie wejść na scenę, spotykają się u niego dosyć często. Główna wszakże zasada: nie poprzestawanie na pokazaniu osoby z jednej tylko strony i to tej naturalnie, jaka w akcji jest potrzebna, lecz uwzględnianie różnorodnych właściwości danej osoby, objawiających się w stosunkach z ludźmi, została przez Korzeniowskiego przyjęta i wykonana, chociaż nie zawsze z jednakim powodzeniem.

Piotr Chmielowski.

(Nasza literatura dramatyczna. T. 1—2. Petersburg, 1898).

6. Rozbiór fragmentów I-ej części „Dziadów“ Mickiewicza.

Przypatrzwszy się bliżej fragmentom, które wydawcy dzieł Mickiewicza wydobyli z pośmiertnych papierów poety i wydrukowali razem pod ogólną nazwą części pierwszej, łatwo dostrzeżemy, że dzielą się one na dwie grupy, nie mające z sobą ścisłej łączności. Monolog dziewczyny, czytającej romans pani Krüdener, i fragment ostatni, w którym występuje Gustaw i Myśliwy Czarny—to jedna grupa; wszystkie inne fragmenty, włożone w środek między dwoma tamtymi—to druga grupa. Mniemam, i będę się starał uzasadnić to mniemanie, że tylko pierwsza grupa miała wejść do pierwszej części *Dziadów*, inne zaś fragmenty są jakby wstępem do drugiej.

Dwa urywki pierwszej grupy dają nam charakterystykę Gustawa i jego kochanki przed wzajemnym ich poznaniem się, ściśle też sobie odpowiadają, niby dwa portrety, przeznaczone do ozdobienia jednej ściany. Wiemy już z biograficznej części, jaką jest ta dziewczyna, rozcytujująca się w romansie pani Krüdener; wiemy, że jest to marzycielka, gardząca poziomą rzeczywistością, która ją otacza, i wzdychająca do jakiejś «istoty bliźniej», od Stwórcy przeznaczonej, a jedynie zdolnej pojąć ją i ocenić. Szuka ona tej istoty, tej duszy pokrewnej w każdej nowej twarzy, jaka się zjawia w jej otoczeniu.

I w każdym nowym głosie nadaremnie bada
Tonu, który jej duszy brzmieniem odpowiada!
Ale twarze tchną głazem, jak Meduzy głowa,
Nad słotny deszcz jesienny zimniejsze ich słowa!

A przecież wierzy ona silnie, że jest ktoś kędyś «choć na krańcach świata», co do niej «myślami wzajemnymi

wzlata». Gdybyż poznać, gdyby go obaczyć i choć niedługą chwilę cieszyć się tym życiem doskonałym, jakie daje harmonja dwóch dusz, dla siebie stworzonych. Wtenczas dusza jej, kryjąca się teraz w mroku samotności «z ciemnej, głuchej jaskini stałaby się rajem».

Z taką to prześliczną teorią miłości czeka dziewczyna na zjawienie się Gustawa. Zobaczmyż, jakim jest Gustaw przed poznaniem kochanki. Znajdujemy go w kniei, na polowaniu. Odszedł on daleko od swych towarzyszków i zbłąkał się w lesie. Bo też nie jest to zwyczajny myśliwy. Podczas gdy jego towarzysze «na ziemi tropili zdobycz», on cieszył się widokiem natury, «oczami na jesiennie polował widoki», to też nie zwierzynę upolował, ale piosnkę myśliwską. Jak dziewczyna w pierwszym monologu różni się usposobieniem od całego swego otoczenia i nie może w nim znaleźć pokrewnej duszy, tak i Gustaw niepodobny jest do swoich towarzyszków. Tamci całą duszą toną w codziennych zajęciach i rozrywkach i nigdy myślą nie wybiegają nad nie.

Gustawa, przeciwnie, nudzi codzienny bieg życia, nudzi go otoczenie miąłkie i poziome. Młodzieńcze serce jego tęskni i wzdycha do ideału niewieściego, którego daremnie szukał w otoczeniu. Nieraz już «pod zewnętrznym blaskiem zgadywać był gotów miliony tajemnych wdzięków i przymiotów», ale podszedł, przemówił i bóstwo, które chciał wielbić, «zmieniało się w posąg z lodu uciosany».

Ileż razy, gdy dusza ku ustom wylata,
Chcę odkryć tajnie mego wewnętrznego świata,
Kiedy źrenicą w oczach dno myśli się śledzi,
Mowa serca serdecznej czeka odpowiedzi,
Natenczas nieme bóstwo oczu mych się boi,
Słów mych nie słyszy, bo jej słyszeć nie przystoi,

Lub ich końce powtarza tylko na kształt echa,
I albo się rumieni, albo się uśmiecha;
I chce mnie znowu ściągnąć w rozmowy potoczne,
Wezorajsze, wczorajsze i zaprzeszloroczne!

O dusze miałkie! raczej bezduszne szkielety!
Czerpające moralność całą z etykiety:
Których żale, radości, zapaly i chłody
Stosują się do nowych kalendarzów mody;
Grzeczności i rozmowy najlepszego tonu,
Jak cukierki, obwite w wierszyki salonu...

Zrażony rzeczywistością, Gustaw ucieka w kraj marzeń. I zdaje mu się, że ideał jego niewidzialny krąży około niego na kształt cienia; słyszy on nieraz jakby szelest stóp jakiejś nimfy, trącających kwiaty, czasem mu nawet mignie w powietrzu jakaś lekka postać. Te wizje, te szeptu tajemnicze to uczucie obecności jakiejś niewidzialnej istoty wypływa z młodzieńczego pragnienia miłości, którego otaczająca rzeczywistość zaspokoić nie może. Któżby mógł je zaspokoić? Naturalnie istota niewieścia, podobna do niego, również wybiegająca myślą i uczuciem wysoko nad zwykły poziom towarzyski, a więc nikt inny, tylko dziewczyna z pierwszego monologu. Gustaw i ona stworzeni są dla siebie, dusze ich jeszcze przed obleczeniem w ciało Bóg powiązał i dlatego przed poznaniem się jeszcze tęsknią oni do siebie. Ta tęsknota tak napęłnia serce Gustawa, że dla upragnionej kochanki gotów się on wszystkiego wyrzec.

Ach, gdzie cię szukać?—Od ludzi ucieknę;
Ach, bądź ty ze mną, świata się wyrzeknę!

Łatwo przypuścić, że dalszą treścią pierwszej części miało być poznanie się młodej pary i stosunek ich wza-

jemny aż do zerwania. W jakich scenach i w jaki sposób miał być przedstawiony rozwój tego stosunku, na to w pozostałych urywkach wskazówek niema, z wyjątkiem jednej.

Do zabląkanego w lesie Gustawa przypytuje się jakiś myśliwy nieznajomy i stara się dość natrętnie zabrać z nim poufalszą znajomość. Z nazwy, jaką mu daje poeta: *Myśliwy Czarny*, z tego, co sam o sobie mówi nieznajomy do Gustawa («Myśliwy równej, jak ty, ochoty, większej trochę mocy»), z cynizmu i pewnej tajemniczości wyrażen jego trzeba się domyślać, że jest on czymś w rodzaju Mefi-sta. Myśliwy Czarny natrząsa się z idealnych pragnień Gustawa i chciałby je sprowadzić z górnych sfer na ziemię, zamienić w czysto zmysłową pożądlivość.

Zdaje się więc, że w dalszym ciągu zadaniem tajemniczego Myśliwca miało być odciąganie Gustawa od idealnej miłości, a może i stawianie przeszkód, aby się dwie istoty, od Boga dla siebie przeznaczone, nie połączyły. Moznaby też mniemać, że w ostatnich słowach Myśliwca jest zapowiedź pokusy zmysłowej, którą wysłaniec ciemnych potęg chce przygotować Gustawowi.

Jeżeli mój domysł jest słuszny, to już w pierwszej części piekło występuje do walki z niebem o duszę Gustawa, do walki, która się potem miała rozwinąć w inny sposób w trzeciej części *Dziadów*.

Józef Tretiak.

(Mickiewicz w Wilnie i Kownie. Życie i poezja. 3 t. Lwów, 1884).

7. „Pierwiosnek“ Mickiewicza.

Pierwiosnek jest przejrzystą i wdzięczną alegorią. Tym pierwszym kwiatkiem wiosennym, o którym tu mowa i który sam tu przemawia od siebie, jest młodzieńcza

poezja Adama, zawarta w pierwszym tomiku, pierwszy kwiatek wiosny poetyckiej Mickiewicza, a zarazem pierwszy kwiatek wiosny romantyzmu polskiego. Poeta nie ma śmiałości jeszcze wystąpić z tym kwiatkiem przed światem i dlatego woła:

Zawczasie, kwiatku, zawczasie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perełka.

Ale kwiatek nie chce żyć dłużej w ukryciu, pragnie on, aby poeta upiół z niego wianek dla druhów i kochanki. Poeta czyni zadość temu wezwaniu, ale zapytuje kwiatka, skąd on ma pewność, że przyjaciele i kochanka przyjmą mile ten datek? Naturalnie o kochankę tu głównie chodziło, przyjaciele byli tu tylko umieszczeni dla towarzystwa, bo z ich strony dobrego przyjęcia mógł być poeta aż nadto pewnym.

W ostatniej strofie brzmi ton rezygnacji, ale tej rezygnacji, która nie pozbawiona jest jeszcze wszelkiej nadziei. Możliwy więc z tego wnioskujeć, że wiersz ten pisany był jeszcze przed ślubem Maryli (2 lutego 1821); atoli z drugiej strony zdawałoby się, że jako dedykacja napisany był dopiero w chwili, gdy powziął poeta myśl wydania swoich ballad i romansów. Do jakiego czasu odnosi się ta chwila, nie wiem; być może, że oba przypuszczenia dałyby się pogodzić, to jest, że zamiar wydania zbioru swoich poezji powziął Adam jeszcze przed ślubem Maryli.

Chociaż *Pierwiosnek* jest tylko poetyczną dedykacją i z powodu treści swojej okolicznościowej nie mógł być nazwany ani balladą ani romancą, to jednak z formy dramatycznej, z czułości, którą ten wonny kwiatek napojony, jest on bardzo podobny do romanicy.

Józef Treściak.

(Mickiewicz w Wilnie i Kownie. Życie i poezja. 3 t. Lwów, 1884).

8. Wyjątek z rozbioru „Pana Tadeusza“ Mickiewicza.

Chwila dziejowa, którą wybrał poeta dla umieszczenia w niej stworzonych przez siebie osobistości, to pamiętny okres w dziejach Europy, kiedy «ów mąż, bóg wojny, otoczony chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny, wprzągnąwszy w swój rydwan orły złote obok srebrnych, od puszczy libijskich latał do Alpów *) podniebnych, ciskając grom po gromie: w piramidy, w Tabor, w Marengo, w Ulm, w Austerlitz». Pod działaniem tych gromów chwiały się trony, krajały się ziemie i układały w takie kształty, jakie im ręka «boga wojny» zakreślała. Zdawało się, że świat całkiem nowe przybierze kształty na skinienie olbrzymia wzrostem małego. Przy takim wstrząśnieniu powszechnym Polacy robili wysiłki, ażeby pod opieką zwycięskiego Napoleona odzyskać utraconą samoistność polityczną; umysły były rozgorączkowane i roily plany najśmielsze. Odgłos tych walk i tych nadziei był tak potężny, że dochodził do najdalszych zakątków Litwy, gdzie poeta umieścił akcję swego poematu. I tu wiedziano o zwycięstwach «boga wojny», i tu rozpowiadano, jak to generał Dąbrowski z ziemi włoskiej stara się przyciągnąć do Polski, jak Kniaziewicz rozkazy daje z Kapitolu i «zwy-

*) Obecnie w dopełniaczu ustaliła się forma *Alp*.

ciężca wydartych potomkom Cezarów rzucił w oczy. Francuzów sto krwawych sztandarów»*), jak Jabłonowski «zabiegł, aż kędy pieprz rośnie, gdzie się cukier wytapia i gdzie pachnące kwitną lasy»**).

Chwila to była najśłodszych wspomnień poety ze swego dzieciństwa «sielskiego i anielskiego», w którym trosk dotkliwszych niewiele zaznał; a kraj, o którym pisał — to jego rodzinne strony nowogrodzkie, gdzie mu ubiegły lata dziecięce i młodociane.

Na tym tle czasu i miejsca przedstawił poeta świat swój, dla którego, jak spragniony do źródła, uciekał z ulic Paryża «pełnych stuku». Trzy sprawy wprawiają w ruch wszystkich tego świata mieszkańców, są sprężyną duchową ich zamiarów, przedsięwzięć i czynności. Organiczne splecenie tych spraw w jednolitą całość jest najwyższym artystycznym tryumfem poety, który umiał każdej z nich nie tylko wyznaczyć właściwe miejsce w swoim utworze, ale także wystawić odpowiednią doniosłość nie za pośrednictwem rozumowania, lecz za pośrednictwem obrazów.

Jedna sprawa obraca się w zakresie uczuć indywidualnych; druga — w sferze interesów materialnych; trzecia — w dziedzinie najwyższych zabiegów narodowych. Przedstawicielami pierwszej są Tadeusz i Zosia, Telimena, Hrabia i Rejent; przedstawicielami drugiej — Sędzia, Gierwazy i szlachta zaściankowa; przedstawicielem trzeciej jest całe społeczeństwo, powołane do życia przez poetę, a przede wszystkim najwybitniejszy i najczynniejszy jego w tym kierunku członek, Jacek Soplica.

*) Kniaziewicz brał udział w wyprawie Berthier'a przeciw państwu Kościelnemu oraz w kampanji rzymskiej i neapolitańskiej Championnet'a. W dowód uznania zasług Kniaziewicza Championnet wysłał go do dyrektora ze zdobytymi sztandarami neapolitańskimi, które Kniaziewicz oddał na uroczystej audjencji w d. 8 marca 1799 r.

***) Jabłonowski, dowodzący legją naddunajską, zmarł w San Domingo na żółtą febrę d. 26 grudnia 1802 r.

Pierwszej sprawie wyznacza poeta miejsce bardzo szczupłe, gdyż w życiu pospolicie, jeżeli pominiemy wyjątki, zajmuje ona nie większe; druga sprawa przeprowadzona jest najobszerniej, gdyż interesy materialne, jako codziennie się nasuwające, muszą nawet w najidealniej urządzonej formie życia bardzo wiele pochłaniać czasu, chociaż przez to nie zyskują bynajmniej najwyższego i najżywotniejszego znaczenia, tak samo, jak go nie mają w poemacie, gdzie trzecia sprawa, lubo stosunkowo do tej drugiej rozwinięta krócej, stanowi właśnie najistotniejszą część utworu, skupiającą w sobie rozproszone albo we wręcz przeciwnych kierunkach rozstrzelone życzenia, pragnienia i działania; kwestja niezależnego bytu narodu pochłania wszystkie myśli, wszystkie uczucia, godzi sprzeczne dążenia i poróżnionych wzajemną dla siebie przejmując miłością.

W tym uszeregowaniu i ustopniowaniu spraw oraz w wydzieleniu dla nich miejsca w poemacie, widzimy dowód, jak Mickiewicz w «Panu Tadeuszu» nie nie zrobił w celu popisu lub efektu: nie rozszerzył się nad zapalnymi miłosniami dla zjednania sobie serc tkliwych, zapalnych lub romansowych; nie zapełnił też poematu gorącymi scenami patryjotycznymi, gdyż jakkolwiek odczuwał i przedstawiał zarówno ważność miłości rodzajowej, jak miłości ojczyzny, wiedział przecie, że wybuchy jednej i drugiej właśnie dla swego wybuchowego charakteru nie mogą być normalnie długotrwałymi, gdyż albowy się przemieniły w szaleństwo, albowy się stały komedią. Interesy zaś materialne, nie obudzające tak namiętnych wzruszeń, zajmują ludzi ciągle i musiały też być przez poetę, który pragnął pozostać wiernym rzeczywistości, traktowane obszernie. Nie wyłączają one naturalnie ani miłości rodzajowej, ani miłości ojczyzny, tylko objawy ich sprowadzają do form spokojniejszych.

Trojakiemu rodzaju miłość rodzajową przedstawia Mickiewicz w «Panu Tadeuszu»: namiętną, spokojną i zalotną.

Jak wielka różnica zachodzi pomiędzy romantycznym a realistycznym traktowaniem miłości, pokazuje Mickiewicz, przedstawiając stosunek Jacka Soplicy do Ewy Horeszkówny. W głównych rysach jest to stosunek Gustawa *) do Maryli; położenie towarzyskie obojga kochanków jest podobne, temperamenty te same, zawód miłosny—analogiczny, a przecież i wynik odmienny i sposób przedstawienia całej rzeczy różny, chociaż zarówno o jednym, jak o drugim, słyszymy z ust zawiedzionych kochanków. Różnicy przedstawienia zawodu miłosnego nie można tłumaczyć tym tylko wyłącznie, że Gustaw wylewa swe żale niebawem po utracie kochanki, nie przeszedłszy żadnych późniejszych kolei złych czy dobrych,—Jacek zaś po latach wielu i po wielu różnych przygodach, jako zakonnik, gdyż w wyznaniach Jacka najmniej właśnie cechy zakonnika zaznaczył Mickiewicz. W tym jest główny powód różnicy, że Gustaw — to marzyciel, a Jacek — człowiek stworzony do czynu.

Jacek, szlachcic zaściankowy, rębacz zawołany, wielki paliwoda**), kłótnik, trzystu kreskami Sopliców rządził wedle woli, trzęsąc całym powiatem, i kiedy wyjeżdżał ze swego zaścianka, to liczniejszy dwór miał, niżeli książęcy; a kiedy szabli dostawał, to kilka tysięcy kordów błyszczowało wokoło, strasząc zamki pańskie. Temperament to był namiętny, porywczy; czyny Jacka nie były wynikiem rozwagi, ale chwilowego wrażenia i uczuć, domagających się natarczywie natychmiastowego zadowolenia. Taki czło-

*) Bohatera IV części «Dziadów».

**) Narwaniec, raptus, szalona pałka, zawadjak, wartogłów, awanturnik.

wiek miał tylko cześć przed słabością niewieścią zarówno przez pamięć na matkę własną, jak i przez to poczucie obowiązku bronienia słabszych i opiekowania się nimi, często spotykane u silnych fizycznie. Taki człowiek gdy pokochał, to nie na to, aby wzdychać i błądzić przy księżycu i marzyć o platonicznej miłości, o której nic nie słyszał, ale na to, żeby z ukochaną połączyć się i żyć z nią po ludzku, nie po anielsku.

Jacek pokochał Ewę, córkę magnata, stolnika Horeszki, dla którego kasztelan witebski był jeszcze za niską figurą, gdyż go pogardliwie «drażkowym» nazywał, chociaż ten bynajmniej takim nie był. Stolnik, według dawnego trybu Rzeczypospolitej, na pozór serdecznie przyjmował «pana brata», bo mógł wpływów jego na szlachtę zaściankową potrzebować; więc zapraszał go często na biesiady, wnosił niejednokrotnie jego zdrowie, krzycząc z podniesioną do góry szklanicą, że nie miał przyjaciela nad Jacka Soplicę.

Szlachta domyśliła się, dlaczégo Jacek Wąsał, Jacek Wojewódka tak chętnie przyjmował i zaprosiny i uściski Stolnika; a życząc dobrze swojemu bratu, ostrzegała go, że dygnitarskie progi za wysokie na nogi podczaszyca; Jacek śmiał się z przestroég, udając, że drwi z magnatów i z córek ich, mówiąc, że jeśli bywa u Horeszków, to z przyjaźni jedynie i że żonę pojmie tylko sobie równą. Ale w gruncie uwagi i żarty bodły mu duszę rogatą do żywego, gdyż on na serjo rozumiał, iż każdy szlachcic jest na równi z panami kandydatem do korony, a przypominając sobie zasłyszana z dziejów wieść, iż Tęczyński dostał żonę z królewskiego domu, porównywał ród Sopliców z Tęczyńskimi i nie sądził, by ci byli wyżsi czymkolwiek od tamtych: czy krwią, czy herbem, czy wierną służbą Rzeczypospolitej. W tym dumnym przeświadczeniu o zachości swego rodu Jacek myślał istotnie, że Stol-

nik nie ubliżyłby sobie, gdyby córkę oddał mu za żonę. Ale Horeszko «chytrze dumny» udawał, że mu nawet nie przyszło do głowy, iżby Soplica mógł się starać naprawdę o taki związek; a gdy byli sam na sam, a Jacek miał już wybuchnąć wyznaniem, zrećcznie zwracał rozmowę na rzeczy ogólne, zagadywał o łowach, procesach, sejmikach.

Poznał się w końcu na obłudzie Stolnika Jacek Wąsał; a gdy musiał odwzajemniać mu się uściskiem, to tak w nim złość wrzała, że obracał ślinę w gębie, a dłonią ścisnął rękę. «Chcąc plunąć na tę przyjaźń i wnet szabli dostać». Cóż wstrzymywało tego gwałtownika i zawadżakę? Nie znaczenie Stolnika bynajmniej, bo rozporządzając dowolnie zaściankami, mógł się go nie lękać; ale błagające spojrzenie Ewy i bladość jej lica. «A był to taki piękny gołąbek, łagodny, wzrok miała uprzejmy taki! tak pogodny, taki anielski», że Jacek nie miał odwagi «zagniewać ją, zatrwożyć». Mógłby ją był porwać przy pomocy szlachty z Dobrzyna i czterech innych zaścianków, ale tu znowuż wątpliwość Ewy nie pozwoliła pomyśleć Jackowi o wykonaniu takiego zamiaru. «Ach—mówił Jacek po latach wielu—gdyby ona była, jak nasze szlachcianki, silna i zdrowa, gdyby ucieczki, pogoni nie zlekła się i mogła słuchać szczęku broni!... lecz ona biedna! tak ją rodzice pieścili! słaba, lękliwa! Był to robaczek motyli, wiosenna gąsienica! I tak ją zagrabić, dotknąć ją zbrojną ręką, byłoby ją zabić!...».

Ale temperament taki, jaki był w Jacku, chociaż ulegał urokowi słabości, nie był przecież zdolny do poświęcenia swej dumy, do wyrzeczenia się nadziei bez uczucia potrzeby zemsty. Postanowił więc Wojewódka w zamku nie bywać, miłość z serca wykorzenić, wziąć ślub z inną, a potem wynalazszy jaką zaczepkę, pomścić się na dumnym i chytrym magnacie. Rzeczywiście, ożenił się z pierwszą, jaką napotkał, dziewczyną

ubogą, nie kochając jej wcale; ale mimo to miłości dla Ewy wyrwać z serca nie mógł; darmo się zmuszał do pilnowania gospodarstwa, stał się zły, opryskliwy; nie mogąc znaleźć pociechy w niczym na świecie, w końcu zaczął pić. Zrobił w rzeczywistości to, co Gustaw zmyślił tylko, nie chcąc, ażeby Maryla wiedziała, że się z miłości dla niej życia pozbawił.

Bezład w domu Jacka, jego nałóg haniebny podały go na wzgardę sąsiadów, i ten, który niedawno trząśł całym powiatem, stał się przedmiotem śmiechu dzieci włościańskich. To zwiększyło jeszcze gorycz w jego sercu i przydało nowego żywiołu «biesowi zemsty». Nadarzyła mu się sposobność; skorzystał z niej. Stolnik, jako zwolennik i obrońca konstytucji trzeciego maja, wystawiony był na prześladowanie targowiczian i ich sprzymierzeńców. Zamek jego był w oblężeniu; bronił się dzielnie. Jacek przypatrywał się obronie; złość go porwała, że Stolnik mógł zostać zwycięzcą. Gdy go ujrzał stojącego na ganku, jak brylantową spinką ku słońcu migotał i wąs pokręcał dumnie i wzrokiem dumnym spoglądał, zdało się Jackowi, że jemu to w szczególności urągał magnat, szydząc i grożąc. Nie namyślał się, kurczowo pochwyił karabin żołnierski, nie mierzył prawie, wypalił i zabił ostatniego Horeszkę.

Natura miłości Jacka była równie gwałtowna i wybuchowa, jak miłość Gustawa; ale formy jej przejawienia się są inne, gdyż Jacek jest realistycznym odtworzeniem rzeczywistości, gdy tymczasem Gustaw, lubo również z natury wzięty, odmalowany został romantycznie. Miłość Jacka nie jest samą tylko czystą namiętnością, na którąby nic a nic nie wpływały zajęcia, sposób życia, stosunki towarzyskie i społeczne kochającego się, ale jest objawem, któremu towarzyszą, wzmagając lub hamując jego siłę, tysiączne, nieraz drobne okoliczności zarówno zewnętrzne,

jak wewnętrzne; a pod wpływem tychże objaw ten musi się wyrazić tak, a nie inaczej; gdy przeciwnie, rozwiązań namiętności Gustawa, jako objawu odosobnionego od wpływów, występującego w nieoznaczonej przestrzeni i czasie, może być bardzo wiele.

Ten charakter konieczności w rozwoju objawów uczucia jest wynikiem a zarazem i dowodem ścisłego trzymania się rzeczywistości w jej artystycznym odtwarzaniu.

Piotr Chmielowski.

(Adam Mickiewicz. Zarys biograficzno-literacki. 2 t. Warszawa—Kraków, 1886).

9. Rozbiór sonetu Mickiewicza „Żegluga”.

Sonetem nazywamy drobny utwór poetycki, składający się stale z 14 wierszy, ułożonych w 4 zwrotki, z których dwie pierwsze mają po 4 wiersze, dwie zaś następne po 3. Pod względem treści sonet dzieli się zwykle na dwie części: obrazową i refleksyjną. Część obrazowa obejmuje dwie pierwsze zwrotki, część refleksyjna — dwie końcowe. Część obrazowa zawiera opis jakiegoś zjawiska ze świata zewnętrznego, część zaś refleksyjna podaje myśli i uczucia poety, które budzą się w nim pod wpływem tego zjawiska.

Sonet Mickiewicza «Żegluga», trzeci w cyklu sonetów krymskich, jest ułożony najzupełniej prawidłowo podług wyżej przytoczonych zasad.

Jego część obrazowa przedstawia nam widok okrętu żaglowego, ruszającego z miejsca pod wpływem działania wiatru. Część zaś refleksyjna maluje nam powrót otuchy do zbolącej duszy poety pod wpływem podróży i widoków natury. Mamy tu więc analogję pomiędzy działaniem wiatru na żaglowiec a wrażeniami podróży na duszę poety.

Przechodzimy do szczegółów.

W pierwszej zwrotce poeta przedstawia okoliczności, towarzyszące ruszeniu okrętu. Najprzód wzmaga się szum fal, ponieważ okręt, poruszając się, uderza o wody morskie i rozpycha je. Z tego też powodu «morskie straszydła», t. j. bałwany, snują się daleko gęściej. Dalej poeta opisuje czynności majtka: jego szybkie wchodzenie po drabinie, ruchy śród sieci lin, wysoko zawieszonych, a więc dla patrzącego z dołu — niewidzialnych, wreszcie zatrzymanie się jego w tej sieci. Te wszystkie zewnętrzne oznaki zwiastują pasażerom, że okręt rusza; są one niejako hasłem, które przemawia do nich: «Gotujcie się, dzieci!». W końcu zwrotki, poeta, zapatrzony w majtka, zawieszono go w sieci lin, upatruje podobieństwo pomiędzy nim a pajakiem, który czatuje na «skinienie sidła», t. j. na drgnienie pajęczyny, co mu oznajmia, że wpadła do niej zdobycz.

Głównym bohaterem zwrotki drugiej jest wiatr, co poeta uzmysławia przez dwukrotne powtórzenie tego wyrazu; «Wiatr! wiatr!» Zwrotka ta ma na celu pokazać, jakie skutki wywołuje działanie wiatru na okręt. Pierwszym skutkiem jest wzdymanie się żagli, co sprawia, że okręt wygląda, jak gdyby się dąsał. Następuje gwałtowne poruszenie się okrętu, podobne do ruchu konia, który zerwał wędzidło. Lecz fale tamują ruchy okrętu, stąd początkowe jego poruszenia są powolne i ociężałe. Okręt «przewala się» i «nurkuje w pienistej zamieci», t. j. z trudnością pruje spienione fale. Pomiedzy okrętem i falami toczy się walka. W walce tej okręt odnosi zwycięstwo: «wznosi kark, zdeptał fale». Zwycięzca wygląda majestatycznie. Sunie po widnokregu, otoczonym niebiosami; wierzchołkiem dotyka obłoków («obłoki czołem sieka») a żaglami, jak ptak skrzydłami, chwyta wiatr.

Część refleksyjna sonetu przenosi nas do duszy poety. Dusza ta, jak wiemy z jego biografji, wskutek zawodów

i nieszczęście doznanych jest w tym czasie pogrążona w smutku i podobna jest do okrętu, stojącego na kotwicy z obwisłymi żaglami. Ale podróż wywołuje zmianę w usposobieniu poety. Do duszy jego zaczynają napływać nowe wrażenia. Wrażeń tych jest wielkie mnóstwo, i zmieniają się one ciągle. Poeta czuje się odurzonym tym mnóstwem doznawanych wrażeń, tym «odmętem» wrażeń. Ale to działa kojąco na jego smutek. Myśl poety nie zatapia się już w analizowaniu wnętrza własnej duszy, na której dnie kryją się zgryzoty i zmartwienia. Poeta oddaje się całkowicie odczuwaniu wrażeń podróży; dusza jego «buja» wśród odmętu wrażeń.

Jakież skutek wywierają te wrażenia na poetę? Skutek jest podobny do tego, jaki wiatr wywiera na stojący na kotwicy żaglowiec. Wrażenia te odrywają poetę od sondowania ran świeżo zabliznionych, od myśli o smutnej przeszłości, którą w sonecie «Cisza morską» poeta nazywa «hydrą pamiątek», i wlewają otuchę do jego serca. Dzięki tym wrażeniom, wyobraźnia poety wzdyma się, jak żagle okrętu za podmuchem wiatru, t. j. poeta czuje, że wyobraźnia jego zaczyna działać, że powraca mu natchnienie poetyckie. Powraca także wesołość. Poeta, który dotąd był ponury i milczący, łączy teraz «swoj krzyk z wesołym orszakiem», t. j. bierze udział w wesołej, gwarnej rozmowie, którą prowadzą towarzysze podróży. Tu kończy się trzecia zwrotka i zaczyna czwarta.

Gdy powróciło natchnienie i wesołość, poeta uczuł, że w piersiach jego tkwi ogromna siła twórcza. Siła ta jest tak potężna, że gdyby poeta piersią dotknął okrętu, to tkwiąca w niej siła przynagliłaby okręt do szybszego pędu.

«Zdaje się, że pierś moja do pędu go nagli».

Ukojenie smutku i świadomość własnej siły budzą w duszy poety lekkość, rzeźwość i zadowolenie wewnętrz-

ne. Teraz poeta rozumie: «co to być ptakiem», t. j. czuć się wolnym od wszelkich smutków i utrapień.

Rozbiór nasz jest znacznie większy, niż objętość «Żeglugi». Świadczy to, jak obfitą treść potrafił poeta wtłoczyć w ciasne ramy sonetu. Jeżeli wogóle w poezji Mickiewicza należy podziwiać zdolność wypowiedzania bogatej treści za pomocą małej ilości słów, to przedewszystkiem cechą tą odznaczają się jego sonety, a między niemi na szczególniejszą pod tym względem uwagę zasługuje «Żegluga».

Romuald Sułowski.

10. „Kazanie Skargi“ Jana Matejki.

Śmiało rzec można, że «Kazanie Skargi» Matejki jest jednym z najpopularniejszych dzieł nie tylko zmarłego mistrza, lecz wogóle całego polskiego współczesnego malarstwa. Znanym ono jest wszędzie, najpierw dzięki kilkakrotnemu wystawieniu na widok publiczny, następnie zaś skutkiem licznych reprodukcji, które treść jego i plastyczną formę szeroko rozsiały w najdalsze zakątki kraju.

«Kazanie Skargi» jest pierwszą z szeregu wielkich kompozycji, któremi Matejko w genialny sposób wypowiedział dzieje swojego narodu, jest również pierwszym obrazem, który otworzył mistrzowi drogę sławy. Ukończony w Krakowie 1864 r., wystawiony został w Paryżu w roku następnym, i młody dwudziestosześcioletni artysta został odrazu głośnym w stolicy Francji, otrzymując zań medal złoty. Odtąd poczyna się era ciągłych tryumfów, dążenie malarza, etap po etapie, do wyżyn, na których w zenicie swej bogatej kariery stanął jako jeden z najsamodzielniejszych, z najoryginalniejszych mistrzów sztuki XIX wieku.

«Kazanie Skargi» *) jest może najlepszym obrazem Matejki, a w każdym razie wraz ze «Stańczykiem» i «Portretem własnym» stanowi ową niedoścignioną trójcę arcydzieł, która, jak pierwszej wody kamień, błyszczy w jego artystycznej koronie. Wrodzony gienjusz Matejki, widoczny w każdym z dzieł jego, w «Skardze» potęguje się niejako zapałem młodości, chęcią stworzenia czegoś niezwykłego. Silny, zdrowy, młody organizm artysty wypowiada tu, jakby w natchnieniu, najdroższe swe cele malarzkie; staje on wobec sztuki współczesnej i jednym silnym rzutem pędzla zaznacza swoje pojawienie się na jej widnokregu, zajmuje odrazu jedno z wydatniejszych miejsc, zajmuje z pewnością siebie, aby od tej chwili horyzonty swej twórczości rozszerzać coraz bardziej.

W harmonji koloru żaden z obrazów Matejki nie przewyższa «Kazania Skargi», to samo da się powiedzieć i o nastroju chwili. Czuć w ramach obrazu moment życiowy, moment niezwykły, czuć, że się stoi wobec walki wewnętrznej zgromadzonych tu ludzi, wobec rozmaitych uczuć, tkwiących gdzieś w głębi, a widocznych tylko w oczach.

Malarz wyrazów, jakim był w istocie swej Matejko, jest już potężnym psychologiem w młodzieńczym swym utworze; bohaterowie jego wyobraźni żyją, bo myślą i czują.

Oprócz w Paryżu «Kazanie Skargi» wystawione było w Wiedniu, Krakowie, Lwowie i kilkakrotnie w Warszawie. Pierwsza z niego kopja wyszła w «Tygodniku Ilustrowanym» 1865 r. w drzeworytniczej reprodukcji Pokornego, z oryginalnego rysunku Matejki; następnie w «Kłosach» i «Albumie» (wydanie Lewentala) według rysunku Florjana Cynka, w końcu w doskonałym miedziorycie Henryka Redlicha.

Henryk Piątkowski.

(Album sztuki polskiej. Warszawa, 1901).

*) Własność hr. Potockich w Warszawie.

11. „Chmielnicki pod Lwowem“ Jana Matejki.

Dla każdego historyka sztuki, który głębiej zechce wniknąć w twórczość Matejki i zapragnie spojrzeć w głąb jego wewnętrznej natury, jasno się przedstawi proces rozwoju tej niezwyklej indywidualności artystycznej. Rozwój ten opiera się głównie na coraz to szerszych kręgach, którymi zakreśla coraz to dalsze granice swych pragnień duchowych.

Matejko w pierwszych kilku latach swej samodzielnej pracy, jako twórca «Śmierci królowej Bony», «Wapowskiego», «Jana Kazimierza na Bielanach», «Wita Stwosza», w wydoskonaleniu fachowym stoi już na stanowisku pierwszorzędnej siły; w «Kazaniu Skargi» zaś i «Stańczyku» jest mistrzem skończonym i, jako malarz, staje na zenicie doskonałości. Wszystkie te jego dzieła są rapsodami historycznymi o bardzo bogatym psychologicznym podkładzie, o poważnym, epicznym nawet nastroju, lecz wątek ich wewnętrzny, t. j. malarski tak umiejętnie spóldziała z treścią przedmiotową, t. j. literacką, tak ją wyzyskuje, tłumaczy, że w całości swym są to utwory, przemawiające do widza językiem czysto artystycznym.

Już od «Rejtana» zaczyna się w twórczości Matejki manifestować dążność do przekroczenia granic, właściwych owemu «czystemu» malarstwu; realne przedstawienie danego momentu, prawda życiowa i psychologiczna nie wystarczają mu; ilustrując historję, która bądź co bądź dla malarza, pragnącego ją plastycznie wypowiedzieć, jest szeregiem następujących po sobie faktów i wydarzeń, nie waha się wytworzyć fałszywego historycznie momentu dziejowego. aby wyciągnąć z niej syntezę idei panujących, ścierających się prądów... i obrazem swym daje nie tyle wrażenie chwili dziejowej, ile abstrakcyjnie unoszący się

ponad całą epoką, ponad całym szeregiem momentów, jeden po drugim następujących, wynik ostateczny, zapisany w historii.

Każdy z następnych obrazów, z małemi już wyjątkami, jest dziełem historjozofa w większej mierze, niż malarza. Jak asceta, oddany modlitwie, obcy światu i otoczeniu istnieje życiem nie rzeczywistym, lecz oderwanym: tak Matejko, nasłuchując z głębi duszy jego płynących podszeptów, wznosi się coraz wyżej, aby uchwycić echa przeszłości, ze sfer niebiańskich hymnem natchnienia nań spływające. Tak zasłuchany, pozostaje nim do śmierci, potęgując z każdą nową kreacją tę stronę wewnętrznego swego życia, i życie to, wytworzone i skoncentrowane w jego umyśle, szerokim i gorączkowym znaczy pędzlem. I gra pieśń swoją dziejową, pieśń czarowną, a tak na wskroś jednolitą, jak gdyby na jednej wciąż strunie graną była.

W wielkich swych kreacjach filozoficzno-dziejowych, jak «Hołd Pruski», «Unja», «Batory», «Jan Sobieski» i t. d. znaczeniem chwili dziejowej rozszerza Matejko ramy rzeczywistego jej obrazu. W każdym z tych dzieł otoczenie dostraja się do figury kardynalnej obrazu; szczegóły, jak pojedyncze instrumenty niezwykłej orkiestry, składają się na jeden, zawsze wielki, potężnie zawsze brzmiący akord, który, jak huragan, wstrząsa duszą widza, a zakłęty siłą mistrza, zastyga w plastycznej swej formie.

Wkrótce jednak i to spotęgowanie nastroju przedstawionego dziejowego faktu nie wystarcza Matejce. Zaczyna poruszać siły wyższe: wizje, symbole, alegoryczne zestawienia; miesza je z życiem realnym, łączy naziemskie z ziemskim, fantazję uprawdopodobnia konkretną formą, rzeczywistość fantazjuje silnym napięciem wewnętrznych swych porywów. Powstają w ten sposób: św. Wojciech na «Grunwaldzie», lecące postacie w «Joan-

nie d'Arc», błogosławiony Jan z Dukli w «Chmielnickim pod Lwowem».

Nie wielki ten, jak na Matejkę, obrazek*) pojęciem ogólnym, nastrojem, wreszcie zestawieniem rozmaitych pojedynczych motywów mimowoli przypomina olbrzymie plafony Tiepola lub Rubensa.

Podanie niesie, że hufce Chmielnickiego, złączone z hordą Tuhaj-Beja, powstrzymane zostały u bram Lwowa pojawieniem się błogosławionego Jana z Dukli. Temat ten, jako treść obrazu, wkracza w dziedzinę owych licznych anegdotyczno-fantazyjnych pomysłów, którei malarze radzi posiłkują się, gdy chcą spróbować siły swej wyobraźni. Gdy jednak taki Olivier Merson w kierunku ten wlewa szczerą poezję, gdy Bastien-Lepage («Joanna d'Arc, słuchająca głosów») lub Pruszkowski («Aniołowie u Piasta») główny kładą nacisk na nadziemskość wizji, na ich niematerialność i przeto wytwarzają wielce artystyczny kontrast z otoczeniem, — Matejko anegdotyczną treść obrazu doprowadza do apoteozy i tak rozszerza przedmiot kompozycji, że Chmielnicki staje się niejako wcieleniem siły brutalnej, powstrzymywanej wolą Opatrzności.

Pierwszy plan, trzymany dekoracyjnie w ciemnych tonach, jako *repousoir*, mieści w sobie kozaka, grającego na teorbanie**), w jasyr zabraną dziewczynę, Tatara ze zrabowanym w kościele kielichem i jeszcze dwie inne postacie, a wszystkie one, znajdując się pod kopytami nieledwie wierzchowców Tuhaj-Beja i Chmielnickiego, mają za zadanie poglądowo niejako tłumaczyć znaczenie najazdów tatarskich i kozackiej pohulanki. Widzimy więc, jak Matejko, coraz bardziej potęgując wrodzone swe tendencje, wkracza w dziedziny symbolu i, alegoryczną nawet

*) Własność p. Temlera w Warszawie.

**) Narzędzie muzyczne strunowe, podobne do lutni.

posługując się formą plastycznie, stara się wypowiadać swe poglądy na dzieje narodu; na fałszywym nawet stojąc gruncie, jest on zawsze potężnym zjawiskiem w malarstwie. Wielki to pan w sztuce, pan despotyczny, samowładny, nie znający innej władzy nad swój żywiołowy gienjusz, nad intuicyjne*) przeświadczenie o swoim posłannictwie.

Henryk Piątkowski.

(Album sztuki polskiej. Warszawa, 1901).

12. „Lekcja anatomji“ Rembrandta.

...Dwudziestopięcioletni Rembrandt przeniósł się teraz do wielkiego i ludnego Amsterdamu, gdzie mu kazano malować mnóstwo portretów. Szczęściem dla niego, już koloryt Rubensa był w modzie w stolicy Holandji, więc musiał malować spokojne, naturalnych rozmiarów portrety o prawdziwej karnacji i przy tej robocie rychło do końca doprowadził swoje artystyczne wykształcenie...

...Ale o wiele sławniejszą jest grupa portretów, zwana «Lekcją anatomji», a będąca najznakomitszą ozdobą muzeum w Hadze.

Sławny lekarz, dr. Tulp, młody jeszcze a przystojny szatyn o białej cerze i żywych rumieńcach, w naturalnej odmalowany wielkości, stoi w prosektorjum przy świeżym, zielonawym trupie, któremu skalpelem rękę rozcina; ma na sobie czarną odzież, czarny kapelusz a białą kryzę; wykłada, sam widocznie bardzo wykładem zajęty. Lekarze amsterdamscy, wszyscy mężowie w sile wieku, słuchają wykładu z największym zajęciem; mają odkryte głowy, czarną odzież i białe kryzy, a tak u Tulpa, jak i u słuchaczy

*) Intuicją nazywamy przeczucie prawdy, bezpośrednio pojmowanie istoty rzeczy bez udziału spostrzeżeń zmysłowych lub rozumowania.

widzimy wszędzie na twarzy wąsik mały i bródkę hiszpańską. Po wyrazach twarzy słuchaczy sądząc, musi być wykład nadzwyczaj zajmujący; niektórzy cisną się do trupa i pochyłili się nad nim ciekawie.

Wszystkich głowy nadzwyczaj indywidualne, widocznie podobne. Rzecz malowana tak dobrze, jak tego dotąd w Holandji nie widziano, a rozkład światła dodaje obrazowi życia i interesu, wykład odbywa się bowiem w zasklepionej sali, do której słońce wpada przez otwarte okno, oświetlając Tulpa, trupa, malowanego z dość wstrętym realizmem, i najbliższych słuchaczy, podczas gdy dalsi stoją w zwyczajnym oświetleniu bielonych pokoi.

Wojciech Dzieduszycki.

(Historja malarstwa na Północy i w Hiszpanji do końca XVII wieku. Lwów, 1901).

13. „Gra w Mora“ — obraz Aleksandra Gierymskiego.

«*Gra w Mora*» przedstawia wnętrze włoskiej winiarni, oświeconej gazem. Noc niezupełna, czy księżycowa, przegląda ze dworu ciemnym błękitem przez szyby okna. Słaby płomień lampki, palącej się przed wizerunkiem Madonny, rozlewa białawo-żółte światło na ścianie. Wszystkie figury, z wyjątkiem dwóch, ubrane są ciemno. Scena wyraża napiętność dwóch partnerów, którzy stojąc naprzeciwko siebie i patrząc sobie w oczy, grają w *Mora* o zakład. Gra polega na tym, że, kiedy jeden wystawia naprzód pewną ilość palców, cztery naprzykład, drugi, wywołując natychmiast liczbę cztery, powinien w tejże samej chwili wystawić inną ilość palców, naprzykład trzy, jak w wypadku, przedstawionym na obrazie — i tak dalej. Widzowie okalają graczy, biorąc mniejszy lub większy udział w zabawie.

Artyście nie chodziło tu o wylustrowanie lub wypowiedzenie pewnej idei za pomocą giestów, jak to ma miejsce w obrazach *szkoły literackiej malarstwa*, ale o charakterystykę giestów samych, o pokazanie usposobienia Włochów do giestykulacji wyraźnej, do przejawów zewnętrznych każdego uczucia i każdego wrażenia.

Obraz, pomimo nadzwyczajnej energii w ruchach i wyrazach, odznaczał się niezmiernym spokojem pod względem techniki tak skończonej, że śladu nawet manjery dopatrzeć się w nim nie było można. Oświetlenie, pochodzące od kilku płomieni gazowych, ze swemi krzyżującymi się i skomplikowanymi cieniami, utrzymane z całą ścisłością natury, stanowiło główny urok tego obrazu, który miał za cel przedstawić prawdę koloru. Kolor światła sztucznego, który inni malarze, studjujący go w dzień, zwykle charakteryzują prawdziwie, pokazywał odrazu w «*Grze w Mora*» subtelną wrażliwość oka artysty na delikatne odcienia barw. Światło gazu a nawet zwyczajnej świecy, w stosunku do błękitnawych promieni światła dziennego, wydaje się tak rażąco czerwonym, że tylko mało komu udało się w obrazach, przedstawiających noc z oświetleniem sztucznym wyjść poza złudę wrażenia. Aleksander Gierymski tymczasem wydobył kolor z nadzwyczajną prawdą, ponieważ namalował go takim, jak się on przedstawia w nocy bez zestawienia z białym światłem słońca. A przytym figury, głowy, twarze, ubranie i wszystkie szczegóły były tak skończone, że ślady pędzla ginęły w odcieniach tonów, w przechodzeniu od jednej barwy do drugiej, od jednego przedmiotu do drugiego. Założenie obrazu było wytrzymane całkowicie.

Antoni Sygietyński.

(Album Maksa i Aleksandra Gierymskich. Warszawa, 1886).

14. Język polski.

Jak pod względem literatury, tak i pod względem bogactwa dźwięków zajmuje nasz język pomiędzy pobratymczymi językami pierwszorzędne stanowisko. Żaden z języków słowiańskich nie posiada samogłosek nosowych, żaden nie okazuje tyle życia w swych dźwiękach, co nasz. Mówimy *dąb*, ale *dęba*, nie *dąba*; *ząb*, ale *zęba*, nie *ząba*; mówimy *wiara*, ale *wierzę*, nie *wiarzę*; *miara*, ale *mierzę*, nie *miarzę*; mówimy *pióro*, ale *pierze*, nie *piarze*; *zióło*, ale *ziele nieziole*. W którymże to języku słowiańskim takie życie i taki ruch wokalizmu *)?

Niektóre języki słowiańskie mają samogłoski długie i krótkie; nasz język posiada tylko krótkie, ale zato i ścieśnione (pochylone), których tamte nie posiadają. Skutkiem długości i krótkości samogłosek, skutkiem zmienności akcentu są niektóre śpiewniejsze, zato w naszym więcej męskości i siły, a szorstkości zapobiega taka miękkość dźwięków (ć, dź, ś, ź...), jakiej w tamtych nie znajdziesz. Tym językiem możesz grzmieć, jak gromem, i wydobywać z niego najdelikatniejsze tony.

Szymon Matusiak.

(O nauce gramatyki języka polskiego w wyższym gimnazjum. Odbitka z «Muzeum». Rocznik II. Zeszyt VIII).

KONIEC CZĘŚCI II.

*) To jest ruch samogłosek.



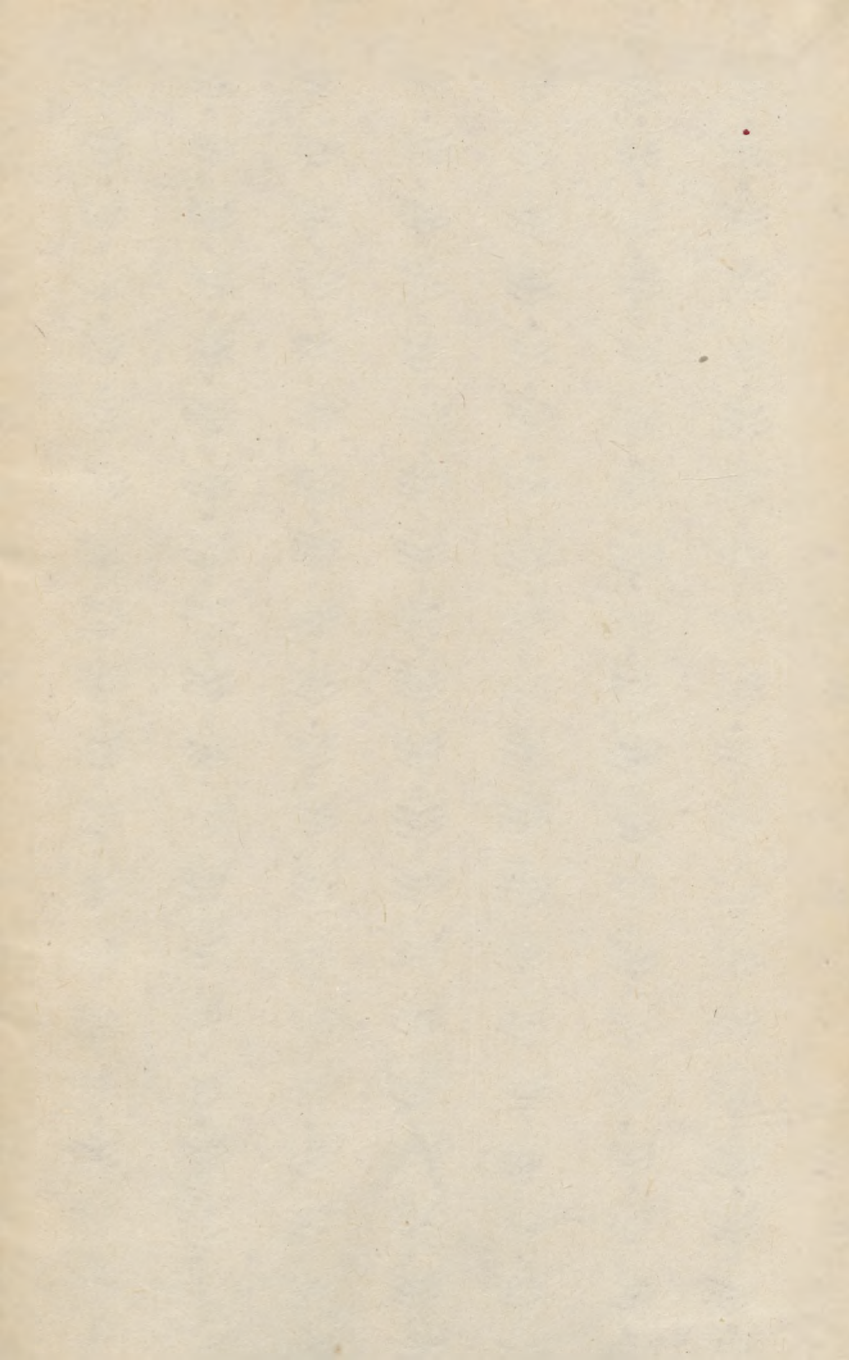
SPIS RZECZY.

A. OPISY.

	<i>Str.</i>
1. Widok Wawelu, przez Józefa Kremera	5
2. Góra Świętokrzyska, przez Al. Janowskiego	6
3. Wspomnienie Tuhanowicz. przez E. Pawłowicza.	14
4. Tuhanowicze, przez Wł. Piasta	16
5. Pokucie, przez M. Turkawskiego	17
6. Katalończycy i Kastylczycy, przez Aleksandra Hirschberga	20
7. Hidalgo, przez tegoż	22
8. Eskurjal, przez tegoż	24
9. Uprzejmość hiszpańska, przez Adolfa Pawińskiego	28
10. Walka byków w cyrku na <i>plaza de Toros</i> pod Madrytem, przez tegoż	30
11. Polowanie na hipopotamy, przez Henryka Sienkiewicza.	43
12. Zanzibar, przez Sucheckiego.	48
13. Polowanie na tygrysa w Indjach Wschodnich, przez Józefa hr. Potockiego	51
14. Góra Adama na Cejlonie, przez tegoż	53

B. ROZPRAWY.

1. Trzy władze duszy, przez Henryka Struvego	62
2. Sztuka i piękno, przez tegoż	67
3. O charakterze, przez ks. Fr. Krupińskiego	76
4. Początki komedji polskiej, przez H. G.	80
5. Stanowisko Józefa Korzeniowskiego w dramacie i komedji, przez Piotra Chmielowskiego	87
6. Rozbiór fragmentów I-ej części „Dziadów“ Mickiewicza przez Józefa Tretiaka	91
7. „Pierwiosnek“ Mickiewicza, przez tegoż	94
8. Wyjątek z rozbioru „Pana Tadeusza“ Mickiewicza przez Piotra Chmielowskiego	96
9. Rozbiór sonetu Mickiewicza „Żegluga“, przez Romualda Sułowskiego	103
10. „Kazanie Skarżi“ Jana Matejki, przez Henryka Piątkowskiego	106
11. „Chmielnicki pod Lwowem“ Jana Matejki, przez tegoż	108
12. „Lekeja anatomji“ Rembrandta, przez Wojciecha Dzieduszyckiego.	111
13. „Gra w Mora“—obraz Aleksandra Giorymskiego, przez Antoniego Sygietyńskiego	112
14. Język polski, przez Szymona Matusiaka	114



Nie pożyczą się do domu

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
GDAŃSK

II 44101/2